

PRESCRIPTUM

Drodzy Czytelnicy!

Od kilku lat, podczas letniej szkoły języka, literatury i kultury polskiej, która jest organizowana przez Szkołę w sierpniu każdego roku w Cieszynie, wychodzi piśmko zatytułowane „Wiadomości Letniej Szkoły”. Piśmko jest redagowane przez dra Jana Grzenie, redaktora naczelnego „Postscriptum”. Zamieszczane są w nim przede wszystkim teksty studentów letniej szkoły, choć od czasu do czasu zdarzają się także teksty pracowników, jak np. żartobliwy przyczynek do polskiej gramatyki autorstwa Magdy Pastuchowej i Oli Janowskiej. „Wiadomości” to oczywiście zabawa, ale posiadająca istotny metodyczny aspekt. Dlatego też w niniejszym numerze „Postscriptum” postanowiliśmy udostępnić część rzeczy pomieszczonych w różnych numerach „Wiadomości”. Towarzyszą im niezwykle ciekawe materiały związane z tegoroczną, IX letnią szkołą języka, literatury i kultury polskiej: inauguracyjny wykład najwybitniejszego historyka języka polskiego, pani prof. dr hab. Ireny Bajerowej, wypowiedź wybitnego polskiego pisarza Stanisława Lema, zapis rozmowy z popularnym, politycznym publicystą telewizyjnym Kamilem Durczokiem.

Życzymy miłej lektury!

Jola Tambor, Romuald Cudak

WYKŁADY

Irena Bajerowa

Język jako polityczna wartość w dziejach narodu polskiego

„W mowie jest chwała i hańba człowieka, a język może spowodować jego upadek”. Tę myśl sformułował mędrzec Starego Testamentu, zwracając uwagę na wielką wartość języka w życiu każdego człowieka, na niezwykłą moc języka, który może człowieka wynieść na wzgórze chwały, ale może go zepchnąć w przepaść poniżenia i pogardy. I człowieka, i naród. Bo naród ma swój język, jest on własnością narodu, a także państwa, uczestniczy w jego losach, w jego zwycięstwach i porażkach. Język jest wartością narodową. Przeważnie język właśnie służy do odróżnienia poszczególnych narodów od siebie, przeważnie jest – wraz z całą specyficzną kulturą – czynnikiem spajającym naród i państwo. Jest więc też wartością polityczną.

Jest on taką polityczną wartością i dla narodu polskiego, a chyba jest nią w taki sposób i w takiej mierze, w jakiej nie widzimy tego w dziejach innych narodów. Każdy bowiem naród ma inne dzieje polityczne, a naród polski miał te dzieje burzliwe i trudne w dwu ostatnich wiekach, więc nic dziwnego, że i udział języka w naszym życiu politycznym był szczególnie i pod pewnym względem nawet zadziwiający. Dlatego przegląd, który tu przedstawię, może państwa zainteresować i być jak gdyby wstępem do Warszskich studiów spraw polskich.

Język był wartością polityczną dla Polaków z pewnością od samego początku wyodrębnienia się pośród sąsiednich ludów. Język miał swój

Wykład został wygłoszony 2 sierpnia 1999 r. w Cieszynie na inaugurację IX letniego kursu Szkoły Języka i Kultury Polskiej.

udział w tym procesie, czego ślady mamy z czasów jeszcze przedhistorycznych, z czasów wspólnoty słowiańskiej. Oto mowa staje się podstawą nazwania naszych zachodnich sąsiadów. Nazwaliśmy ich Niemcami, czyli ludźmi niemyi, ludźmi nie naszego języka, takimi, z którymi nie można się porozumieć, bo mowa ich była całkowicie odmienna od słowiańskiej. Tak nasi przodkowie już zaobserwowali istnienie językowego kryterium odróżniania ludów czy narodów.

W pierwszych wiekach swych dziejów państwo nasze nie było jeszcze jednolite. Wyodrębniając się od sąsiadów, scalało się w jedność z kilku grup plemiennych. Nie było jednego stałego ośrodka władzy – przemieszczał się, to usytuowany w Wielkopolsce, to w Małopolsce czy nawet na Mazowszu. W tej sytuacji właśnie wspólny język pomagał w tym procesie scalania się i kształtowania państwowego organizmu ponadplemiennego.

Legenda opowiada, że gdy w XIII w. wybuchł w Krakowie bunt mieszczaństwa niemieckiego, wojsko królewskie, tłumiąc rozruchy i szukając winowajców, sprawdzało przynależność narodową, każąc wymawiać podejrzanym: „Soczewica, koło miele młyn” – i tak język stawał się politycznym dowodem winy lub niewinności, gdyż tylko prawdziwi Polacy umieli prawidłowo wymówić te cztery wyrazy.

To była legenda. Ale z połowy XV w. spotykamy autentycznie zapisane (po łacinie) świadectwo głębszego już rozumienia roli języka w życiu narodu, jego znaczenia w rywalizacji z innymi narodami. To świadectwo – co może zaskakiwać – związane jest z problemami ortografii.

Co ma wspólnego ortografia z polityką? Wydaje się, że nic. Tymczasem 550 lat temu nasz pierwszy traktat ortograficzny, próbujący uporządkować ówczesną polską pisownię, odwołuje się do problemów politycznych. W przedmowie do tego traktatu autor jej tak motywuje podjęcie pracy przez reformatora pisowni, Jakuba Parkoszowica: „Jakub syn Parkosza [...] w tej myśli, żeby naród polski tym pocieszony swoje dzieje mógł spisywać we własnym języku”. Tak więc język polski zostaje wciągnięty w służbę narodu, dokumentowały jego przeszłość, budowały tradycję życia społeczno-politycznego, wielkość i trwałość narodu.

To była połowa XV wieku. A nadchodziły już czasy XVI–XVII w., kiedy Polska istotnie stała się mocarstwem „od morza do morza”, prowadziła zwycięskie wojny i stanowiła przykład państwa dobrze zorganizowanego, a przy tym liberalnego i kulturalnego. Ta siła polityczna Rzeczypospolitej przejawiała się też w losach jej języka. „Na XVII w. przypada czas największego znaczenia i rozszerzenia języka polskiego”. Wspiera on potęgę polityczną państwa w sposób dwojaki:

1) Doskonałością ówczesnego naszego języka literackiego, który osiąga wysoki poziom w dziełach takich autorów jak – jeszcze z XVI w. Kochanowski, Rej, a z XVII w. Szymonowicz, Potocki. O Reju tak pisze pewien współczesny:

„Tenci prawie¹ naród polski swym pismem wystawił,
Miedzy postronne narody szeroko rozślawił”.

2) Swym autorytetem ogólnokomunikacyjnym, staje się bowiem językiem ogólnej komunikacji w całej Europie środkowo-wschodniej, od północy do południa i jako tzw. język strefowy pełni tam tę funkcję, co dziś język angielski (w świecie). Współcześni powiadają, że znany jest „wśród licznych nacji od Morza Lodowatego po Adriatyk”, że jest tam konieczny do rozwoju stosunków międzynarodowych, bo np. nawet na dworze sułtana tureckiego jest w powszechnym użyciu. A zatem jest wartością polityczną.

Ciekawe, że to rozpowszechnienie się polszczyzny tłumaczy się nie tylko ówczesną potęgą polityczną Polski, ale też innymi względami politycznymi: otóż po wymarciu dynastii Jagiellonów w połowie XVI w. rozpoczęła się w Polsce seria wolnych elekcji na tron królewski, a kandydatów do korony na tron szukano wśród różnych dworów europejskich, co oczywiście wywołało żywe zainteresowanie także językiem kraju wybierającego króla. Zwłaszcza, że Polacy oczekiwali od kandydata jakiejś znajomości polskiego języka. Tak język polski stawał się wartością otwierającą drogę do królewskiej korony.

To były wartości niejako zewnętrzne, ujawniające się w stosunkach z innymi państwami. Ale w tym okresie język staje się też wartością polityczną wewnętrzną, tzn. wewnątrz wielkiego i wielonarodowościowego państwa, jakim była ówczesna Rzeczpospolita. Byli tam Litwini, Rusini, Niemcy, Ormianie, Żydzi, a Polacy w połowie XVII w. stanowili ok. 40% mieszkańców, ale ich język był językiem władzy i jako taki był wartością polityczną dla owych 60% niepolskich obywateli naszego kraju. I ci wszyscy nie-Polacy porzucając swój własny język i przejmując polszczyznę, zachowują przy tym nieraz jeszcze przez wieki poczucie odrębności narodowej. Oto np. wielki magnat litewski Janusz Radziwiłł pisze do swojego brata, hetmana: „Choć Litwinem się urodziłem i Litwinem umrzeć mi przyjdzie, jednak polskiego języka zażywać w ojczyźnie naszej musimy”.

A przecież nie było w Polsce żadnego przymusu językowego czy w ogóle polonizacyjnego. Nie spotkamy niczego podobnego do stosunków w monarchii brytyjskiej, gdzie w 1366 r. wydano w Irlandii edykt, który

¹ Wyraz *prawie* oznacza tu „prawdziwie”.

głosił, że „każdy Anglik ma używać angielskiego języka i być nazywany angielskim nazwiskiem, porzucając całkowicie sposób nazywania się przez Irlandczyków”, a „po irlandzku z innym Anglikiem rozmawiać niech się nie waży”. Wydanie podobnego zakazu nie przyszło do głowy żadnemu z naszych władców, [...] a nawet Jagiellonowie starają się obudzić z uśpienia język litewski.

Dlaczego tak było? Dlaczego nie było przymusu, a jednak tak chętnie przyjmowano polszczyznę jako własny język?

Wyjaśnia to znany historyk, Janusz Tazbir: „W każdej epoce język, którym posługiwała się warstwa panująca w danym kraju, był chętnie przyjmowany przez te ambitne jednostki czy grupy, które chciały jeśli nie przedostać się do tej warstwy, to przynajmniej się do niej upodobnić”. I to właśnie obserwujemy w ówczesnej Polsce. Język był po prostu wartością polityczną w obrębie państwa i umiejętność posługiwania się nim włączała w aktualne życie społeczno-polityczne, otwierając drogę do wszelkich sukcesów. Natomiast nie była polszczyzna znamiem lojalności wobec państwa – państwo wymagało wierności, ale nie oczekiwało upodobnienia się językowego czy w ogóle kulturowego. Dlatego też przez długie wieki nasi niepolscy z pochodzenia obywatele zachowali poczucie odrębności etnicznej mimo utraty własnego języka.

Np. dziś jeszcze potomkowie dawnych rodów ormiańskich, choć od kilku wieków używają już tylko języka polskiego i czują się Polakami, ale zarazem nie pozbywają się poczucia pewnej swoistości etnicznej, mają własne stowarzyszenia, publikacje, choćby jakieś spotkania, imprezy towarzysko-kulturalne.

Tak w XVI i XVII wieku język polski uczestniczył w złotym okresie naszej historii, wzmacniając polityczną i kulturalną potęgę państwa i jego wewnętrzną spójność.

Sytuacja diametralnie zmieniła się pod koniec XVIII wieku. Na 120 lat Polska straciła niepodległość, przestała istnieć jako państwo. Mało tego. Gdyby zagarnął ją jeden zaborca, naród byłby przynajmniej razem, nie starzałyby się więzy między częściami kraju. Tymczasem kraj nasz został podzielony pomiędzy trzech zaborców: Niemcy, Austrię i Rosję. Taki stan trwał do r. 1918.

Państwo przestało istnieć. Ale polskie życie polityczne trwało tym silniej, że właśnie w XIX w. w całej Europie ożywiła się świadomość narodowa, Wiosna Ludów 1848 r. budziła nawet tych, co dotychczas nie zdawali sobie sprawy z własnej odrębności narodowej. Tym żywiej ta świadomość nasiliła się u Polaków, którzy pamiętali dawny okres świetności politycznej i kulturalnej, a teraz odczuli zagrożenie bytu narodowego. Zginęło

państwo, to i naród może zginąć. Ale tradycje dawnych wieków i poczucie tożsamości każą ówczesnym Polakom walczyć o jej zachowanie. W tej walce najważniejszym dobrem, widowym znakiem, świadczącym o istnieniu narodu jest właśnie język. Patrioci tamtych czasów lękają się o przyszłość języka; „mnożą się katastroficzne przepowiednie zagłady języka”, a ta pociągnie za sobą śmierć narodów.

Oto wielki i światły filozof i polityk Hugo Kołłątaj nazywa język polski: „jedynym skarbem, który w tak powszechnym rzeczy naszych zatrąceniu dał się jeszcze uratować”. Posłuchajmy też, jak w gorących, wręcz patetycznych słowach ujmuje rolę języka ówczesny poeta:

„Polska mowo ty świetlana [...] – Rozszarpany kraj na ćwierci – Obleczony kirem śmierci – Rozproszone Polski syny – Po kończynach wszystkich świata – Twa potęga wszystko splata”.

Trzeba więc bronić języka. Język staje się narzędziem polityki narodu zniewolonego, rozdartego na 3 części, pozbawionego państwa, ale narodu walczącego o przetrwanie do chwili wyzwolenia. Wskazuje się na przykład Greków i Rzymian, które to narody (jak powiada ówczesny gramatyk Kopczyński) „wymazane są z jeograficznej karty”, ale „imię ich w porządku Historji politycznej i moralnej błyszczą przed wszystkimi”. Cóż im tę sławę zjednało? Język, wspaniałe pomniki językowe.

Inny uczony owych czasów napomina: „byt narodu jest z bytem języka nierozzerwalnie połączony [...], język jedynie spaja z nami miliony współbraci, których nam los w innych względach prawie obcymi uczynił. Przyznać zatem należy, że język jest jedną z walnych spraw narodu, na której po wielkiej części byt i zaszczyt jego polega. Praca więc i usiłowania koło niego [...] są godnym obywatela staraniem”.

Walka o utrzymanie języka nie była łatwa. Jeszcze mocna była pozycja dawnego języka kultury – łaciny, ale też zagrażał zalew nowego modnego języka międzynarodowego – francuszczyzny. Przede wszystkim jednak groźne było to, że zaborcy narzucali swoje języki, niemiecki i rosyjski, nawet zakazując nauki po polsku w szkole. Odpowiedzią były na przełomie XIX i XX w. słynne strajki szkolne setek tysięcy dzieci, bitych i więzionych, a upominających się o nauczanie w języku ojczystym. Odpowiedzią było tajne nauczanie po polsku, ukrywanie książek polskich, zdecydowaną odpowiedzią była ogólnie znana pieśń, dziś jeszcze śpiewana z różnych okazji: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród. Nie damy pogrześć mowy”.

Polscy językoznawcy – gramatycy włączają się w tę walkę. Niewątpliwie zaczynało się zaznaczać pewne zanieczyszczenie języka polskiego germanizmami i rusycyzmami, zwłaszcza w urzędach czy w wojsku, a więc

akcja była tu potrzebna. I polskie gramatyki XIX w. stawiają sobie za zadanie przede wszystkim troskę o czystość języka polskiego, usuwanie obcych naleciałości, uświadamianie konieczności pracy nad językiem, jego pięknem i sprawnością.

I widzimy rzecz niezwykłą, zadziwiający (zapowiadałam to na wstępie) paradoks. Ten język, uciskany, niszczoney – właśnie wtedy wspaniale się rozwija. Powstają obszerne, staranne słowniki, dziesiątki podręczników gramatycznych i – co najważniejsze – ukazują się dzieła pisane pięknym językiem – dzieła mistrzów naszego słowa: Mickiewicza, Słowackiego, Kraśńskiego, Norwida, Sienkiewicza, Prusa i innych.

A i ten zwykły, codzienny język coraz lepiej się wyrabia, normalizuje i integruje, tak że jest w zasadzie jednolity na całym terenie, taki sam we wszystkich 3 zaborach. Coraz zwawiej rozwijają się różne gatunki czasopiśmiennictwa i prozy naukowej. I tak ten zagrożony język właśnie wchodzi w okres świetnego rozwoju, staje się nawet wzorem dla języków innych narodów, np. dla Czechów. Skąd ten paradoks? Stąd właśnie, że w owym czasie język był dla narodu przede wszystkim wartością polityczną, czyli decydującą o faktycznym bycie narodu.

Ten „bojowy” okres historii języka polskiego kończy się w 1918 roku, kiedy w wyniku I wojny światowej znów powstaje niepodległa i zjednoczona Polska. Ale te polityczne funkcje integracyjne język musi jeszcze jakiś czas pełnić, bo staje się narzędziem ujednolicania, sklejanego nowego państwa, budowanego z trzech dawnych zaborów, z konieczności różniących się terminologią administracji państwowej, wojska, szkoły, poczty itd. Wypracowując jednolitą terminologię, możliwie oczyszczoną z obcych pozostałości po dawnych rządach zaborców, budowaliśmy za pomocą języka jednolitość odrodzonej Rzeczypospolitej.

Tak widzieliśmy, jak przez wieki język, włączając się do życia politycznego, służył na rzecz dobra narodu i państwa, służył sprawom politycznym, ale i moralnym zarazem – służył wolności narodu. Tymczasem w XX w. pojawiły się szczególne a nowe zagrożenia. Życie polityczne zostało zdominowane przez totalitaryzm, który i język zechce sobie podporządkować i wyzyskać dla swych celów.

Druga wojna światowa już to zasygnalizowała. Była to pierwsza wojna, w której na wielką skalę walczyło się nie tylko kulą i bombą. Walczyło się propagandą, która często kłamstwem i manipulacją językową próbowała zniewolić umysły podbijanych ludów.

U nas, w Polsce trwał ten stan i po wojnie, gdyż będąc w strefie wpływów sowieckich, zostaliśmy poddani naciskowi propagandy komunistycznej. Propagandy głównie słownej, a więc za pomocą specjalnie kształto-

wanego języka, który w słynnym dziele Orwella, „Rok 1984” otrzymał miano *new-speak* – nowomowy.

Ten język, całkowicie zależny od władzy politycznej, stał się narzędziem walki politycznej i światopoglądowej. Miał on służyć przeformowaniu świadomości narodu i ograniczeniu tej świadomości tak, aby poddała się ideologii komunistycznej, aby naród zapomniał, czym był i jaki był, a posłusznie wykonywał rozkazy płynące z radzieckiej Moskwy.

Jak się to dokonywało? Poprzez cenzurę, przez środki masowego przekazu, które wszystkie – radio, telewizja, prasa – były podporządkowane władzy; poprzez nauczanie szkolne, poprzez wszelkie oficjalne słowa, które kreowały świat zupełnie niezgodny z rzeczywistością, a zgodny z instrukcjami ideologów. Służyły temu różne manipulacje językiem, jak np. usuwanie wyrazów niezgodnych z ideologią komunistyczną; zwłaszcza były to wyrazy związane z religią, z nielewicowym ruchem oporu w czasie wojny. Było to przemilczanie nazwisk osób niewygodnych dla władzy, zbyt samodzielnie myślących; przemilczanie faktów nie przylegających do interpretacji dziejów głoszonej przez rządzącą partię. Jeśli wyrazu nie dało się usunąć ze słownika, to próbowano przynajmniej zmienić odpowiednio jego znaczenie lub barwę. Np. w okresie prowadzonej przez opozycję walki o przywrócenie godności człowieka pracującego zaczęto nam tłumaczyć, że rzeczownik *godność* to wyraz o zabarwieniu ujemnym, gdyż jest równoznaczny z negatywnie odbieranymi słowami, jak *pycha*, *pazerność*, *roszczenia*. Za to wprowadzano nowe wyrazy, które miały nas wychować. Oto przemianowano *Katowice* na *Stalinogród*.

Tak więc i wtedy język był wartością polityczną, choć – raczej antywartością, bo był to język fałszujący rzeczywistość, w celach politycznych okłamujący ludzi, próbujący zamienić ich w posłuszny tłum myślący stereotypami i sloganami wtłaczanymi do głowy przez propagandę. Ten język służył polityce, ale nie służył dobru narodowemu. To był język niemoralny, język zła.

I znowu w tamtych czasach polscy językoznawcy podjęli wysiłki w celu ratowania języka, języka zagrożonego, choć inaczej niż 100 lat temu. Napisałiśmy wiele artykułów analizujących nowomowę, wygłosiliśmy dziesiątki popularnych prelekcji uświadamiających, na czym polega manipulacja językowa, odbyło się kilka sesji naukowych, poświęconych tym zagadnieniom, m.in. w Katowicach na Uniwersytecie Śląskim. Warto podkreślić, że sprawa poruszała nas nie tylko ze względów politycznych, ale także była interesująca naukowo, gdyż właśnie wtedy intensywnie zaczęła się u nas rozwijać pragmalingwistyka, czyli językoznawstwo badające skuteczność mowy, sposoby, jakich nadawca używa, aby pozyskać odbiorcę, a to właśnie jest

problem języka awangardy. Ten splot uwarunkowań politycznych i naukowych doprowadził do tego, że dość powszechnie zaczęto się orientować w zagrozeniach, jakie przynosiła nowomowa.

I znamienne, że gdy w 1980 roku powstała „Solidarność”, natychmiast zwrócono uwagę właśnie na konieczność zmiany języka. Pisał Kapuściński: „Na Wybrzeżu rozegrała się batalia o język, jego czystość i jasność, o przywrócenie słowom jednoznacznego sensu, o oczyszczenie naszej mowy z frazesów i bredni, o uwolnienie jej z trapiącej ją plagi – plagi niedomówników”.

Dziś już mamy w Polsce inne czasy, mamy demokrację. I język dalej służy też polityce, tak jak służy zresztą całej sferze kultury. Oczywiście i dziś w tym języku życia politycznego zdarzają się przemilczenia, przekręcenia i inne manipulacje, ale nie jest to zjawisko masowe i narzucone przez obce siły; jest to przejaw zwykłej walki partyjnej w ustroju demokratycznym; inna rzecz – walki nie zawsze prowadzonej metodami zgodnymi z zasadami etyki, z nakazami prawdy.

Ten przegląd pokazał nie tylko związek historii naszego języka z historią narodu. Pokazał też, że język rzeczywiście może być i chwałą, i hańbą człowieka, bo może służyć polityce dobra i polityce zła. Służy, wzmacniając dobro albo wzmacniając zło.

Wiele się teraz mówi na świecie o prawach człowieka, o takiej polityce, która by broniła godności człowieka, solidarności i uczciwości. Jak widzieliśmy, język ma swój udział w życiu politycznym, on wręcz współtworzy stosunki polityczne i wzmacnia lub osłabia pewne tendencje. Pilnujmy i my, gdziekolwiek jesteśmy, gdziekolwiek pracujemy, jakkolwiek fragment życia społecznego jest poddany naszej odpowiedzialności, pilnujmy, aby nasz język publiczny, zwłaszcza język dotyczący życia politycznego był uczciwy, jednoznaczny i wyrazisty; uprzejmy, ale stanowczy, aby dopomagał narodowi, któremu służy, do rozwoju, do wzbogacania świadomości zarówno przez podtrzymywanie tradycji, jak i przez odważne podejmowanie nowych tematów, nowych zadań. Język niech będzie chwałą narodu.

Prof. Irena Bajerowa należy do grona najwybitniejszych polskich językoznawców. Przez ponad dwadzieścia lat, aż do przejścia na emeryturę, była profesorem Uniwersytetu Śląskiego. Jest autorką wielu publikacji, głównie na temat historii polszczyzny, m.in. *Kształtowanie się systemu polskiego języka literackiego oraz Polski język XIX w. Stan i ewolucja*.

SPOTKANIA

Stanisław Lem

Dlaczego przestałem pisać science fiction?

Dlaczego przestałem pisać science fiction?

Na to pytanie udzielałem często niejasnych odpowiedzi.

Po stanie wojennym mieszkaliśmy w Austrii, w Wiedniu, w wynajętym, bardzo ładnym domku. Najpiękniejszą częścią tego domu był ogród, a w tym ogrodzie rosła bardzo piękna śliwka. Takich pięknych śliwek u nas w Polsce nie ma, bo one wymagają cieplejszego klimatu.

Sprawy klimatu pozostawmy jednak na boku, chociaż bardzo mnie fascynują. Uważam bowiem, że na kuli ziemskiej od dłuższego czasu zachodzą zmiany klimatyczne. Zmiany występują nie tylko na północy i południu, ale także w strefie umiarkowanej, w której my się znajdujemy. Pochodzę ze Lwowa. Kiedyś te rejony nazywały się Galicją, teraz to jest Ukraina. Zostałem stamtąd wypędzony z rodziną. Tam panował klimat kontynentalny, to znaczy jak była zima, to była zima. O żadnych odwilżach nie mogło być mowy. Lato było bardzo spokojne i ciepłe. Teraz natomiast klimat przypomina duży baniak pełen białizny postawiony brzegiem na kuchence gazowej. Wskutek częściowego nagrzewania pojawiają się kłęby kondukcyjne, które powodują, że wszystko się kręci, kotłuje. Zmiana wyżów i niżów jest coraz częstsza, co frustruje niektórych meteorologów, zwanych pospolicie synoptykami. Czują się odpowiedzialni za swoje

Publikowany przez nas tekst składa się z fragmentów wypowiedzi wygłoszonej przez Stanisława Lema do studentów Szkoły Języka i Kultury Polskiej UŚ.

Spotkanie odbyło się w Krakowie, w domu pisarza, w sierpniu 1999 roku.

prognozy, co jest oczywiście nonsensem, bo oni odpowiedzialności za pogodę nie ponoszą.

Wracając jednak do rzeczy. W 1988 r., kiedy kończyłem w Wiedniu pisać jedną z ostatnich moich książek, pojawił się na terenie ZSRR Gorbaczow i nastąpiła tzw. *glasnost*. Moja żona dała pierwszą wiarę temu, że to już nie jest odwilż symulowana, ale prawdziwa i w związku z tym warto wracać do Polski. Tak też uczyniliśmy. W 1988 r. wróciliśmy do Polski. Dom, w którym z Państwem teraz rozmawiam, budowaliśmy po stanie wojennym, był więc wykończony i mogliśmy w nim zamieszkać.

I jakoś tak przeszła mi ochota do pisania science fiction.

Pisarz science fiction w epoce biotechnologii

Odpowiedź na pytanie, dlaczego mi przeszła ochota do pisania science fiction, jest trudna. Nie znaczy to, że w mojej imaginacji porobiły się jakieś suche obszary, że już nie jestem w stanie niczego wymyślić, co by było fantastyką naukową. Myślę, że zbiegło się tutaj kilka różnych przyczyn.

Po pierwsze – co nie było przeze mnie ani zamierzone, ani zawinione: wiele zjawisk, problemów, rzeczy, spraw, o których pisałem jako o fantazmatach odległej przyszłości, stało się rzeczywistością. Nie mogłem więc już spokojnie pływać w fantazjach. Mój status wyglądał tak, jakbym znajdował się na łodzi podwodnej, podczas gdy głębokość wody, w której znajduje się łódź, gwałtownie się obniżała. Łódź staje wreszcie na dnie i zaczyna się jednocześnie wynurzać. To, co sobie wyobrażałem i umieszczałem w bardzo dalekiej, nieokreślonej przyszłości i co mnie ośmielało do rozwijania skrzydeł fantazji, zaczęło się stawać rzeczywistością. Kiedy coś wymarzonego staje się rzeczywistością, z reguły jest tak, że to, o czym się marzyło, realizuje się zawsze jako mniej nadobne, piękne, korzystne i pożyteczne dla ludzkości.

Jeden z pionierów kosmonautyki w carskiej Rosji wyobrażał sobie, że rozwój kosmonautyki spowoduje przyjaźnię ludów i rozpocznie się epoka pokojowa. Mniej idylliczny w swoich mniemaniach politolog amerykański Francis Fukuyama pisał trochę później, że nastąpi koniec historii, tzn. że odtąd prawie wszędzie będzie panował kapitalizm rynkowy i że będzie bardzo nudno. Będzie ogólny dobrobyt, w którym wszyscy będą się rozplęwali jak cukier w herbacie. Czytałem ostatnio jego wypowiedź, w której stwierdzał, że go źle rozumiano. Miał podobno na myśli tylko koniec historii w rozumieniu ruiny marksistowskiej idei postępu prowadzącego do komunizmu. Kiedy wszyscy mają wszystkiego w bród, to robi się strasznie nudno.

Myślę, że wielu z Państwa tu obecnych poznało wątpliwe uroki systemu zaprowadzonego przez Sowietów. Był to system, w którym zdobycie dziesięciu deko szynki albo pary butów było wielkim problemem. Nabycie butów, szynki a czasem nawet chleba, sprawiało wielką radość. Teraz można iść i po prostu kupić. I oczywiście nie całkiem tak rozumiał to Fukuyama, ale wyobrażał sobie, że powszechnie zapanuje nuda dobrobytu i ta nuda będzie dokuczliwa. On teraz wykręca się trochę sianem, twierdząc, że miał na myśli tylko historię w rozumieniu nieustającego postępu. Podczas kiedy faktem jest, że historia jako szereg zjawisk, przeważnie nieoczekiwanych, wcale się nie skończyła. Nie trzeba przypominać katastrofy trzęsienia ziemi w Turcji, które przyniosło kilkanaście tysięcy ofiar, ażeby zorientować się, że o żadnym końcu historii nie ma mowy. Dowodzą tego choćby sprzeczne ruchy polityczne. Z jednej strony mamy dążenia do dezintegracji (np. rozpad całej Jugosławii, która była sklamrowana komunizmem za czasów Tity), a z drugiej strony tendencje integracyjne (np. zjednoczenie się Niemiec). Jednym słowem sytuacja jest historycznie nowa.

Przewidywanie przyszłości, które do niedawna nazywano futurologią, jest bardzo niewygodne. Kilkanaście lat temu mówiono: „albo będzie wojna nuklearna, albo nie będzie”. Wóz albo przewóz. Obecnie okazuje się, że mogą powstawać konflikty lokalne, lokalne wojny, a w tych sytuacjach przewidywanie zakresu zjawisk politycznych jest na granicy niemożliwości.

Przyznam się Państwu, że ja osobiście, po oszacowaniu wartości różnych nauk, zawsze najmniej cenilem sobie politologię. Tu jeszcze nigdy nikomu nie udało się niczego przewidzieć. Właściwie wszystko dzieje się odwrotnie, niż się tego spodziewamy. Rosja utraciła status państwa będącego równoważnym przeciwnikiem Stanów Zjednoczonych. Jeden ze znanych polityków (dawniej sowieckich, teraz rosyjskich) powiedział do Billa Clintona „Ukradliśmy wam wroga”. Związek Radziecki rozsypał się jak babka z piasku.

Oprócz tego zaczęły dochodzić do głosu lokalne tendencje nacjonalistyczne. Pojawiły się narodowości, o których nawet nie wiedzieliśmy, że istnieją. Takie kraje jak Czeczenia oczywiście istniały, ale niewiele się o nich mówiło, bo były trzymane krótko przez Związek Sowiecki, który przy całym swoim okrucieństwie wszystkie je spajał. Zaczęła się pojawiać rzeczywistość, najbardziej przypominająca spokojną równinę oceanu albo morza, które traci na głębokości. Zaczyna się pojawiać to, co było na dnie, gdzie nigdy nie jest gładko i równo. Marzyło się o energii atomowej, której początek wykorzystywania przypadał na lata czterdzieste i pięćdziesiąte. Miała dostarczyć nam bezpłatnej energii na tysiąclecia, a teraz panuje powszechny strach. W Niemczech Partia Zielonych wymusza na kanclerzu

Schröderze rezygnację z energii atomowej. Rozpoczęły się spory, ile to wszystko będzie kosztowało. Sumy przeszły w miliardy marek, ale najgorsze jest to, że przy utracie takiego dużego potencjału energetycznego trzeba przejść na inne źródła energii, tzn. na źródła kopalne – gaz i węgiel, które przy spalaniu przerzucają do atmosfery dwutlenek węgla. Powoduje to ocieplenie klimatu i może grozić zmianą biegu wielkiego globalnego kołowrotu prądów morskich, cyklonów i antycyklonów.

Sytuacja jest bardzo niedogodna dla kogoś, kto chciałby pisać o przyszłości jakieś miłe, łagodne baśnie. Spod powierzchni tych baśni mogą się wyłonić obrazy i krajobrazy dość ponure. Jeden choćby przykład. Oprócz Chin, które mają przeszło 1 250 milionów mieszkańców, teraz również Indie przekroczyły już liczbę miliarda ludności. Oblicza się, że do połowy przyszłego stulecia będzie 10–12 miliardów ludzi na ziemi. Sytuacja przypomina pewne doświadczenia psychologów i zoologów amerykańskich, którzy szczurom w zamkniętych pomieszczeniach pozwalali się dowolnie rozmnażać. Szczurów było coraz więcej, zaczynały się wściekać, gryźć nawzajem siebie i swoje potomstwo. Ich nadnercza zaczynały produkować hormony stresowe. Podobnie gdyby w pomieszczeniu, w którym rozmawiamy, znalazło się znacznie więcej ludzi niż w tej chwili, zaczęłoby się robić nieprzyjemne. Gdyby tu było sześć razy tyle osób, musielibyśmy leżeć jak sardynki w puszcze, a to już nie jest wygodna pozycja.

Fantastyka naukowa wprawdzie zajmowała się pewnego rodzaju wy-cinkiem katastrof mogących wydarzyć się w przyszłości, ale były to katastrofy, że tak powiem fotogeniczne. Jak się ogląda telewizję amerykańską, to można zauważyć, że Amerykanie z wielką lubością przedstawiają w filmach katastrofy, o których można powiedzieć, że są to katastrofy „urodziwe”. „Urodziwa” katastrofa polega na tym, że krew się leje i trupy padają w wielkich ilościach, ale każdy dorosły wie, że jak się takie widowisko skończy, to wszyscy pomordowani za kulisami wstaną i pójdą na piwo. Niestety, dzieci traktują tego rodzaju widowiska ze zbytnią powagą. Jak uzyskają dostęp do broni, to zaczynają strzelać, a potem się dziwią, że ci do których strzelali, nie wstają i wszyscy są martwi.

Zastanawiam się, czy ilość durniów na świecie jest pewną stałą procentową. Czy jak mamy 1 000 ludzi, to 10 idiotów zawsze się znajdzie? Mamy 100 000 – to odpowiednio więcej? A może im więcej ludzi, tym ilość durniów rośnie w sposób ekspozycjalny, czyli wykładniczy, więc jest ich coraz więcej? Jeśli nawet nie jest ich coraz więcej, to w każdym razie robią coraz więcej szumu. Ostatnio były zamieszki w Polsce, w wyniku których 80 policjantów poszło do szpitala. To jest

oczywiście spowodowane tym, że my nie mamy w Polsce ustroju demokratycznego, my mamy ustrój anarchiczno-syndykalistyczny, tzn. im silniejsza grupa społeczna, tym silniejsze i energiczniej artykułowane są jej wymagania. Lekarze mogą przestać leczyć, górnicy zamykają się w podziemnych sztolniach, a chłopci obrzucają ministerstwo masłem. Muszę powiedzieć, że mnie to jako człowieka starego dosyć dziwi, bo przed wojną w latach 20. i 30. to było nie do pomyślenia, żeby chłop rzucał masłem, ponieważ masło było na wagę złota. Teraz mamy za dużo niedobrej wolności. Niedobra wolność to jest taka, kiedy każdy, kto ma dobre układy i dojścia do centrum władzy, może komuś rozbić głowę albo zrobić strajk tam, gdzie mu się podoba.

I znowu odszedłem od tematu. Zatem: weszliśmy w epokę, którą przewidywałem w swoich opowiadaniach i powieściach fantastycznych, w epokę biotechnologii. Łatwość dostępu zabiegów upiększających zaowocowała w USA masowym postępowaniem chirurgii plastycznej. Kobietom wszywa się silikonowe wkładki do piersi, usuwa nadmiar tłuszczu, podnosi pośladki. Jednak kiedy jest możliwy dobór płci u dzieci nienarodzonych, kiedy jest możliwe prawie wszystko, to nie jest to wizja zachwycająca. Zaczyna to wykraczać poza najdalszą rubież fantastyki, staje się rzeczywistością i wtedy ztraca baśniowy urok. Możliwe są nie tylko metody antynaturalistyczne, antykoncepcyjne, ale także możliwe jest klonowanie, czyli przełamanie bariery transgenicznej pomiędzy różnymi gatunkami. Widziałem żywą żabę, która miała wyhodowaną na plecach małżowinę ucha ludzkiego. Jest to pewnie nieprzyjemne dla żaby, ale dla ludzi, którzy to oglądają i myślą sobie, co z tego będzie, jest jeszcze bardziej nieprzyjemne. Dowiedzieliśmy się, że nasze zegary biologiczne uwarunkowane są dziedzicznością. U myszy znaleziono tzw. gen cnoty, który zmusza mysiego samca do wierności swojej towarzyszce. Wyobraźmy więc sobie mężczyznę, który ma tendencje do bycia Don Juanem, a tu mu wstawiają gen, który go zmusza do wierności. To zmuszanie biochemiczne i genetyczne – nawet do zachowań pożądanых – wydaje mi się niewłaściwe. Oczywiście, gdyby operacje genowe sprawiały, żeby ludziom takim jak ja – łysym – odrastały włosy albo zęby, to nie byłoby źle!

Możliwości, które się realizują, wymagają opanowania legislacyjnego. Tymczasem praktyka wykazuje, że prawo stanowione wlecze się w ogonie tzw. postępów, chociaż jest rzeczą wiadomą, jak się ma społecznie występek do cnoty. Stałem kiedyś na ulicy i pomyślałem sobie, że gdyby wszystkie auta, które jednym wielkim strumieniem pędzą ulicami zostały zmniejszone o liczbę aut nabytych wskutek nielegalnych transakcji, to by się zrobiło całkiem pusto. Ilość osobników, którzy są w stanie kraść, ulegać

korupcji, dokonywać czynów przestępczych wzrasta. Czy jest to proporcjonalne do ogólnego wzrostu populacji? Trudno ustalić.

Współczesne kino i telewizja

Gdyby taka katastrofa jak trzęsienie ziemi w Turcji wydarzyła się sto lat temu, to dowiedzielibyśmy się o tym z gazet po tygodniu. A teraz już na drugi dzień mamy na miejscu helikoptery z kamerami i natychmiast wszystko to pakuje się nam do pokoju przez szklane okno telewizora, które po prostu bucha strumieniami trupów. Nadmiar drastycznych scen powoduje zubożenie. Dla przeciętnego Anglika wiadomość, że jego sąsiad złamał nogę jest przykra mniej więcej w tym samym stopniu, jak wiadomość, że dziesięciu Węgrów utopiło się w Dunaju albo tysiąc Chińczyków zginęło w Chinach. Im dalej, tym jakoś mniej strasznie. Potęga liczby jest niezwalczona i nie ma sensu wmawianie nam, że życie jednostek ma zawsze taką samą wartość.

Do osłabienia wrażliwości widzów prowadzi też epatowanie przemocą w filmach fabularnych. Możemy sporządzić listę tematów i przedmiotów, które są niezbędne do stworzenia widowiska telewizyjnego. Po pierwsze potrzeba kilka samochodów, z których połowa wybuchnie gdzieś po drodze. Poza tym potrzeba kilku kałasznikowców, następnie kilka komputerów. Ci, którzy pracują na tych komputerach, są bardzo ważnymi osobami. Pozostaje jeszcze pytanie: o co oni się wszyscy w filmie kłócą i o co tu chodzi? O marihuanę, o kokainę, ewentualnie o skarb Inków, czyli o forszę, albo o coś, co można zamienić na forszę.

Jeszcze tylko w niemieckiej telewizji widać czasami sceny, że ktoś kogoś zaciukał z miłości albo z zazdrości – ale i tam to wielka rzadkość. Niedawno rozmawiałem z moim niemieckim agentem. On telewizji nie ogląda. Wypożycza sobie stare czarno-białe filmy, bo miło jest je oglądać: wszystko dzieje się wesoło i spokojnie. Ostatnio był w niemieckiej telewizji benefis Hitchcocka. Chociaż były to filmy kryminalne, to przecież tam trupy zdarzały się bardzo rzadko. Teraz zaś następuje licytacja okrucieństwa. We wczesnych latach 30., kiedy miałem 14, 15 lat, wyprawa do kina z rodzicami czy z kolegami była przeżyciem. W silniejszych momentach waliłem ze wszystkich sił ojca łokciem w bok. Poruszały człowieka *King-Kong*, *Czarna komnata*, chociaż czarno-białe. Teraz, aby ktoś w ogóle raczył pójść do kina muszą być pokazywane jakieś masowe masakry. W starych filmach bardzo rzadko, jak migdał w torcie, pojawiała się jakaś drastyczna scena i wtedy było to coś bardzo wstrząsającego. We współczesnych filmach krew zalewa nas z ekranu falami.

Wynika z tego, że istnieje jakiś niedobry rodzaj postępu. Nie jestem

żadnym wstydlwym purystą, ale uważam, że nie może się wszystko zasadzać na tym, że tylko krew, seks, forsa i nic więcej. Co prawda pisze się, że coś by należało zrobić, aby ilość mordów na telewizyjną godzinę emisyjną wynosiła jakąś skromną stałą, której nie można byłoby przekraczać. Jednakże uchwalenie ustawy, która ograniczałaby nawet fikcyjną ilość mordów, jest bardzo trudne. Jeden z producentów amerykańskich usłyszawszy, że mógłby być ograniczony w ilości pokazywanych morderstw, wydał okrzyk trwogi: „A co my będziemy pokazywali, kiedy nikt nikogo nie zabija?!”.

W filmach amerykańskich do ulubionych motywów należy też taki: Między piętrami wysokościowca zostaje wskutek jakiejś niewiadomej awarii czy działań terrorystów zatrzymana winda i oczywiście wśród pasażerów jest kobieta, która właśnie rodzi. Kiedy w końcu dziecko szczęśliwie przychodzi na świat, to wcale nie jest noworodek, ale przynajmniej półroczne niemowlę. Nie ma pępowiny, łożyska i wszystko jest od razu gotowe. Licha komedia obliczona na to, by zwiększyć napięcie, a przecież i tak każdy wie, że

to się dobrze skończy. Gdyby się źle skończyło, scenarzysta mógłby stracić pracę. Panują żelazne schematy. Taka mechanizacja i schematyzacja wcale nie jest lepsza niż ta z czasów, kiedy panował komunizm i pokazywano nam rozśpiewanych traktorzystów. To jest też schematyzm, tylko inny.

Ostatnio pojawiła się nowa część *Gwiezdnych wojen*. Oglądałem i wydaje mi się beznadziejnie głupia. Krytyka amerykańska też tak uważa. Ale to nic nie szkodzi: w pierwszych dniach projekcji film zarobił kilka milionów dolarów. To świadczy albo o pogorszeniu się ogólnego smaku albo o tym, że tak zwane społeczeństwo permissywne rozhułało się na całego. Z jednej strony mamy coraz doskonalsze technologie, orbitalne transpondery, a z drugiej strony treści przekazywane są coraz krwawsze, głupsze i nudniejsze. Jakby to była odwrotna proporcjonalność.

Wszystko to wpływa zniechęcająco na twórcę takiego jak ja. Nie mam



Stanisław Lem wpisuje się do Kroniki Szkoły.

ochoty sprzedawać praw do ekranizacji moich książek. Zwykle odmawiam. Zaczęło się to jakiś czas temu fantastyczną historią zatytułowaną *Przekładaniec*, w której pewien kierowca wyścigowy w czasie katastrof samochodowych po kolei traci odnóża: części rąk i nóg. Zostaje następnie sproteżowany i pod koniec firma, której jest winny za te wszystkie protezy, skarży go i chce rozebrać na kawałki. Wajda zrobił z tego niezły półgodzinny filmik. Potem ktoś z Leningradu zwrócił się do mnie o pozwolenie ponownej realizacji z drobnymi wariacjami. „Dobrze – powiedziałem – zgadzam się”. Pisał później do mnie mój agent z Moskwy: „Widziałem w telewizji pański *Przekładaniec*. Kupa gołych dziewczyn się tam rusza”. „Na miłość boską, jakich gołych dziewczyn? Przecież tam nic takiego nie było!” „Oni wstawili, żeby było ciekawiej”. Co mogłem zrobić? Przecież nie wypowiem wojny Rosji. Najbezpieczniej jest po prostu odmawiać. Ja odpowiadam za każde słowo, które napiszę, ale jak ktoś mi wstawia gołe dziewczęta tam, gdzie ja sobie tego nie życzę, to już nie mam na to żadnego wpływu.

Jak się nie ma zamiaru ryzykować, to lepiej w ogóle nie zaczynać. Próbowałem różnych chytrych wybiegów. Na przykład kiedy jeden Amerykanin chciał nabyć prawa do mojego utworu, powiedziałem mu: „Zgoda, ale w umowie umieścimy pewien paragraf. Cała produkcja ruszy tylko pod warunkiem, że przed rozpoczęciem otrzymam scenariusz i jeśli mi się nie będzie podobał, to pociągnę za rączkę hamulca bezpieczeństwa”. „Proszę pana, to nas kosztuje miliony dolarów, a pan będzie hamował nasze twórcze zapędy? Tak nie może być”. To znaczy ja muszę im oddać nie tylko tekst, ale i prawo do zmian. To mi się bardzo nie podobało.

Niektórzy jednak mówią mi: „Proszę pana, przecież nie można ciągle stać w progu domu i pałką odganiać od siebie wszystkich reżyserów. Tak się nie robi. Trzeba od czasu do czasu wychodzić naprzeciw oczekiwaniom publiczności”. Niedawno więc zawarłem umowę na filmową adaptację mojego tekstu. Zobaczymy, co z tego będzie. Może zarobię trochę grosza, ale czarno to widzę. Może nie będzie samych gołych dziewcząt, ale być może wytną tam takie historie, od których pociemnieje mi w oczach?

Współczesny pisarz, księgarnie i czytelnicy

Zaczynam zresztą dawać wiarę tym, którzy twierdzą, że epoka słowa drukowanego zmierzcha. Znacznie wygodniej jest siedzieć na kanapie i oglądać telewizję aniżeli męczyć się lekturą. Trzeba układać litery w słowa, słowa w zdania, zdania w teksty, a na ekranie wszystko leci automatycznie, nie trzeba się zastanawiać, można być skończonym analfabetą i mieć z tego dużo przyjemności. Podobno zresztą nie będziemy się już męczyli kupowa-

nieniem książek. Kładzie się człowiek do łóżka, stawia sobie na brzuchu niewielki komputer, pojawia się wybrana książka, naciska się guzik i przewraca się strona. Ja bardzo przepraszam, ale ja nie lubię czytać w ten sposób. Tu przyznaję się do pokrewieństwa ze zwierzętami. Jak biorę książkę do ręki, to najpierw ją powącham, bywają książki, które mają bardzo miły zapach. Przyjemnie jest, kiedy książka jest ładna, ilustrowana.

Jak się wchodzi do księgarni to dokopać się do dobrej książki jest niesłychanie trudno. Wypisują jakieś potworne brednie. Nie tylko w Polsce, ale i we Frankfurcie czy w Wiedniu wchodzi do księgarni, widzę ogromne stoły zasłane masą makulatury, oglądam to i nieraz wychodzę z pustymi rękami. Tego, czego szukam, tego właśnie nie ma. Domaganie się i prośzenie, aby książkę sprowadzili napotyka albo zdziwione spojrzenia albo informacje, że nakład jest wyczerpany. Bardzo rzadko się zdarza, że wydawca znajduje w piwnicy jeszcze jakiś egzemplarz. W dodatku mam nie szczęście być znanym człowiekiem, któremu początkujący pisarze przysyłają swoje pierwsze płody do oceny. Zdarza się raz na 100, raz na 150 razy coś wartościowego i udaje mi się to wysłać w świat, ale z reguły są to rzeczy bardzo, bardzo niedobre. Oczywiście jako człowiek stary mam gust staroświecki. Nie lubię współczesnej poezji, bez rymu, bez rytmu itd. A poczta przychodzi bez żadnej litości. Całe paczki tego wszystkiego i ja sam jeden. Dwie ręce, dwoje oczu i ograniczony czas. Wszystko to razem wzięwszy powoduje, że zniechęcenie moje rośnie.

Są tacy ludzie, którzy wpadają na pomysł, aby wysłać do mnie list z prośbą o autograf. Z reguły jest napisane, żebym podpisał się tam, przykleił znaczek, wysłał i dołączył dwie kolorowe fotografie. Dlaczego dwie? Jedna dla tego, kto wysyła, a druga na wymianę na jakiegoś lepszego autora. A ja nie mam worka z fotografiami! Nie jestem gwiazdą filmową. Ostatnio zwróciła się do mnie firma Netia, proponując, żebym wysłał zdjęcie, to oni będą się moim zdjęciem reklamowali. Nie używam ich wytworów, więc byłoby to oszustwo, a po drugie ja nie jestem aktorem i po prostu się do tego nie nadaję.

Pojutrze muszę wygłosić mowę dla filozofów, potem dla fizyków. „Niech pan mówi, o czym pan chce”. Paradoksalnie jedyny właściwie fach, który nigdy się do mnie nie zwracał z prośbą o wypowiedź, to fach ginekologów położników. Nie czuję się tym dotknięty, bo od medycyny uciekłem. Moja rodzina była lekarska. Ojciec mówił: „Co to jest literatura? Weź się do jakiegoś porządnego zajęcia”. I w 1948 roku skończyłem studia medyczne. Przez kilka tygodni miałem praktykę na położnictwie. Czasami tylko nie przeszkadzałem siłom natury, czasami im pomagałem. Praca położnika to zajęcie bardzo krwawe i to był jeden z powodów, który mnie

odstręczył od zawodu lekarza. Dwa razy asystowałem przy cięciach cesarskich i wtedy przysięgłem sobie w duszy, że ucieknę z tego terenu. Rzeczywiście: potem nie miałem już nic wspólnego z medycyną.

Ale bywam proszony o wypowiedzi na różne tematy. Redaktorka pisma „Pani” poprosiła mnie ostatnio, bym powiedział „o przyszłości świata”. Gdybym znał przyszłość świata, to przecież siedziałbym teraz u prezydenta Clintona w złotej kasie pancерnej i był żywiony przez specjalny lufcik, a nie pisał jakieś dyrdymały do „Pani”! Myślałem, że jak się kończy 70 lat i jest się emerytem, to już się nic nie musi robić. Nic podobnego, jest jeszcze gorzej.

Na pytanie, które postawiłem na wstępie: dlaczego przestałem pisać fantastykę naukową, nie udzieliłem odpowiedzi, bo jej nie znam. Dobrze wychowany człowiek wie, kiedy trzeba wstać od stołu. Dobrze wychowany człowiek nie zjada całego tortu. Uważam, że trzeba coś zostawić innym, młodszym. To, kiedy się przestaje pisać, to kwestia dobrego wychowania. Trzeba lekko głodnym wstawać od stołu – oto moja dewiza.

Nie wiem, w jakim stopniu było dla państwa zrozumiałe to, co mówiłem w tym dziwnym, polskim języku, ale to już chyba wszystko, co miałem do powiedzenia.

Opracowała i przygotowała do druku Jagna Malejka.

Stanisław Lem cieszy się sławą jednego z najwybitniejszych pisarzy science fiction na świecie. Jego zasługą jest poszerzenie zainteresowań literatury fantastycznonaukowej o problemy humanistyczne. Napisał kilkadziesiąt książek, m.in. *Dzienniki gwiazdowe*, *Solaris*, *Niezwyciężony*, *Cyberiada*, *Bajki robotów*, *Kongres futurologiczny*, *Fiasko*. Jest także eseistą, autorem m.in. *Summy technologiae* i *Filozofii przypadku*.

SPOTKANIA

„Naprawdę ważny jest widz”

– spotkanie z Kamilem Durczokiem

— *W swoich programach gości Pan najważniejsze postaci polskiego życia politycznego i gospodarczego. W jaki sposób udaje się Panu zaprosić do udziału w programie tak ważne osoby?*

— To czasami faktycznie jest skomplikowane. Ale zazwyczaj te osoby już dobrze wiedzą, czym jest telewizja w polityce i jak ważną odgrywa rolę. Wtedy, kiedy oplota im się przyjść do studia i w jakimś programie wziąć udział, nie ma żadnego problemu, żeby na zaproszenie pozytywnie odpowiedzieli i pojawili się w studiu. Problem zaczyna się wtedy, kiedy sytuacja dla polityka jest niedogodna, kiedy na przykład powodem zaproszenia do programu jest gwałtowna krytyka, z którą polityk w ostatnim czasie się spotkał. Wówczas odbywa się cały szereg konsultacji telefonicznych, ileś rozmów i prób przekonywania z mojej strony, bądź ze strony wydawców programu. Próbujemy polityka przekonać: czasem prośbą, czasem jakimś podstępem, czasem – świadomie nie chcę używać słowa groźba – przedstawieniem mu tego, co będzie się działo, jeśli w studiu się nie pojawi. Jeśli bowiem tak się stanie, to głos oddamy na przykład komuś, kto tego polityka krytykuje. Jeżeli są dwie strony konfliktu i jedna atakuje, to czasem polityk, który powinien się bronić, oddaje pole. Osoba krytykująca ma ułatwione zadanie, ponieważ nie ma kogoś, kto mógłby odpiierać argumenty, wątpliwości, pytania czy kwestie podnoszone przez oponentów.

Bardzo to różnie wygląda. Czasami sytuacje są dramatyczne. Program jest emitowany na żywo w godzinach od 21.00 do 22.00 i zdarza się tak,

że około godziny dziewiętnastej ciągle nie wiemy, czy jakiś polityk zgodzi się na udział w programie, czy nie. Nie są to sytuacje aż tak częste, ale zdarzają się i wtedy już cały wachlarz sposobów musi zostać użyty, żeby program faktycznie odpowiadał swemu tytułowi, czyli dotyczył zdarzenia, które aktualnie znajduje się w centrum uwagi widzów, w centrum uwagi tych, którzy są odbiorcami publicystyki politycznej w telewizji.

— *W jaki sposób radzi Pan sobie z sytuacjami, w których spotykają się w studio ludzie o różnych poglądach, często przeciwstawnych; w jaki sposób panuje Pan w takich sytuacjach nad dyskusją. A także: jeżeli wyczerpie się temat rozmowy, w jaki sposób Pan ją kontynuuje?*

— Zaczniemy od końca. Nie obawiam się, że tematów zabraknie. Oczywiście są dni, gdy kalendarz zdarzeń jednoznacznie wskazuje na to, które z nich jest w centrum uwagi, które jest najważniejsze, które niewątpliwie musi być omówione w programie, bo inaczej wszyscy, którzy siadą tego dnia przed telewizorem, będą czuli rodzaj zdziwienia, że dzisiejszy temat wszystkich wiadomości, wszystkich dzienników, wszystkich serwisów informacyjnych w radiu, w innych kanałach telewizji nie jest przedmiotem tego programu. Oczywiście czasami są takie dni, że faktycznie jest gorzej z tematami. Wtedy o 11.00 zbiera się kolegium redakcyjne „W centrum uwagi”, siada szef programu, sekretarz redakcji, szef redakcji, wydawca i prowadzący, no i „ciężko” myślimy, co tu wykreować. Mamy jakieś tam instrumenty, które pomagają nam w kreowaniu zdarzeń. My współpracujemy ściśle z programami informacyjnymi.

W ogóle struktura w telewizji polskiej jest taka, że programy informacyjne, takie jak „Wiadomości”, „W centrum uwagi”, „Panorama” i „Teleexpres” funkcjonują w odrębnej agencji – Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Mają one siedzibę w innym miejscu niż reszta Telewizji. Telewizja jest przy ulicy Woronicza, zaś Telewizyjna Agencja Informacyjna na placu Powstańców, w samym centrum Warszawy. Jeśli jest jakiś temat, który wydaje się nam interesujący, a nie ma nic ciekawszego tego dnia w bieżącym rozkładzie zdarzeń politycznych czy życia publicznego, wtedy prosimy kolegów z „Wiadomości”, żeby oni albo powiedzieli kilka słów o tym wydarzeniu, które my będziemy omawiali w programie albo wręcz przygotowali krótki, 40-, 50-sekundowy film, czyli taki reportaż, który spowoduje, że my w pewnym sensie sami wykreujemy to zdarzenie jako ważne, jako istotne.

Faktycznie, są takie dni, kiedy nie ma tematów, kiedy nic się nie dzieje. Najbardziej kłopotliwe pod tym względem jest lato. Dwa miesiące waka-

cyjne, a już zwłaszcza sierpień, kiedy większość polityków jedzie na urlop, kiedy przerwę w pracach ogłasza polski parlament, kiedy w Warszawie nie ma posłów, nie ma ministrów, bo wszyscy gdzieś się porozejeżdżali nad jeziora, nad morze i odpoczywają – wtedy faktycznie o 11.00 mamy poważny problem, żeby wymyślić coś, co jest interesujące, co przyciągnie do telewizorów przynajmniej 4% widzów, bo to jest około godziny 21.00 granica przyzwoitości, jeśli chodzi o oglądalność programu.

Natomiast na pytanie, jak się panuje nad dyskutantami, odpowiem – różnie. Tak jak różne są ich temperamenty. Niektórzy pozwalają sobie narzucić pewien rygor, pewną dyscyplinę w dyskusji. Kiedy jednak rozmówca nie odpowiada na pytanie albo kiedy próbuje skierować rozmowę na inne tory, wówczas ostra reakcja jest bardzo istotna. Jeśli w tym momencie ostro zareaguję, to politycy potem wiedzą, że mogą się spodziewać podobnych reakcji w każdym momencie, w którym będą uciekali od odpowiedzi na pytanie, będą uciekali od głównego wątku dyskusji i kierowali ją na tematy poboczne. Bo tak naprawdę między dziennikarzem politycznym a politykiem w studiu toczy się pewien rodzaj wojny, a na pewno konfliktu. Ten konflikt jest wpisany w istotę funkcjonowania tych dwóch światów, świata polityki i świata dziennikarzy. Dziennikarze chcą wiedzieć wszystko o politykach, a politycy bardzo się bronią przed tym, aby dziennikarze wiedzieli o nich wszystko. I w tym starciu różne są wyniki. Czasem to my dziennikarze wygrywamy, a czasem wygrywają politycy. Ale tak ten świat wygląda. Jeśli dziennikarze pozwalają od pierwszych minut na to, żeby politycy tworzyli zdarzenia w tym programie, żeby oni reżyserowali program, to rzadko się zdarza, że jest to program udany, oglądany, pozytywnie oceniany i taki, z którego widzowie – bo oni są przecież najistotniejsi – mogą coś wynieść, mogą się czegoś dowiedzieć.

— *Czy któreś z problemów, które Pan porusza w swoich programach, są dla Pana szczególnie interesujące?*

— Ja się interesuję polityką, mniej gospodarką. Wtedy, kiedy tematem programu są zagadnienia związane z gospodarką, jestem zdecydowanie mniej szczęśliwy i mniej zadowolony niż wtedy, kiedy możemy rozmawiać o polityce w czystej postaci: rozumianej jako starcia rozmaitych grup w parlamencie, jako starcia przedstawicieli rozmaitych partii politycznych. Tematy gospodarcze są z natury trudniejsze, bardziej skomplikowane. Są takie zagadnienia, na których po prostu trzeba się dobrze znać, trzeba mieć głęboką wiedzę o procesach gospodarczych, śledzić to. To nie jest główny obszar moich zainteresowań.

Tutaj państwo mieli okazję obejrzeć fragmenty programu z Andrzejem Celińskim. To jeden z legendarnych, można powiedzieć, działaczy podziemnej Solidarności, wcześniej Komitetu Obrony Robotników. Człowiek, który całe swoje funkcjonowanie w czasach PRL-u poświęcił walce z poprzednim ustrojem. I po 10 latach od zmiany ustroju w Polsce ten człowiek podejmuje decyzję o wstąpieniu do partii, której trzon, czołową grupę stanowią funkcjonariusze, politycy, którzy działali w poprzednim systemie. Mnie interesowało, jakie są motywy takiej decyzji. Jak to jest, że człowiek nagle wstępuje do partii, w której jego kolegami stają się ci, z którymi jeszcze 10 lat temu walczył?! 10 lat temu, ba! jeszcze 5 lat temu, kiedy Andrzej Celiński był członkiem Unii Demokratycznej, a później Unii Wolności, partii wyrosłych przecież z pnia solidarnościowego. Wtedy także mówił on – ja posługiwałem się zresztą w tym programie całym szeregiem cytatów z wypowiedzi Celińskiego – o Sojuszu Lewicy Demokratycznej, że to partia nastawiona wyłącznie na władzę, na stanowiska, na stołki, jak się to u nas mówi, a dzisiaj z tymi ludźmi siada w jednym szeregu i podejmuje wspólne działania. Niezwykle mnie interesował mechanizm takiej decyzji i muszę przyznać, że nie uzyskałem, być może to dowód mojej słabości, nie uzyskałem przekonującej odpowiedzi, dlaczego Andrzej Celiński tak właśnie postąpił. Ale to jest właśnie ta grupa problemów, zagadnień czy zdarzeń w polityce, która mnie interesuje najbardziej.

— *Czy polityka nie jest brudna?*

— Polityka jest tak samo brudna, jak brudne są inne dziedziny naszego życia. Polityka nie jest jakimś bytem oderwanym od naszego codziennego funkcjonowania, od rzeczywistości, która nas otacza. Jeśli wśród polityków – jeśli, powtarzam! – są ludzie skorumpowani, to tak samo, jak są skorumpowani wśród policjantów, którzy biorą jakieś tam kwoty do kieszeni zamiast wypisywać mandat. Są przecież także grupy skorumpowane wśród urzędników. To jest pochodna tego, co dzieje się w całym kraju, więc powiedzenie, że polityka jest brudna, jest powiedzeniem, że rzeczywistość, która nas otacza, też jest brudna. Polityka jest przede wszystkim fascynująca, wpływa na nasze życie w większym stopniu niż nam się wydaje. A my ciągle nie rozumiemy do końca jak ważne są decyzje, które podejmujemy przy urnie do głosowania, wrzucając kartkę, skreślając taką albo inną osobę, wybierając Kowalskiego, Nowaka albo kogoś jeszcze. Może za parę lat to się zmieni.

— *Czy jest Pan neutralny politycznie w trakcie programu?*

— Ja bym nie chciał odpowiadać na pytanie, czy jestem neutralny w

trakcie programu. Odpowiedź należy do widzów. Albo widzowie uważają, że jestem dziennikarzem, który potrafi obiektywnie prowadzić program, obiektywnie rozmawiać z przedstawicielami wszystkich sił politycznych, które u nas w kraju funkcjonują, albo też odznaczam się sympatią dla jednych, a antypatią dla drugich. To musi być odpowiedź widzów, na tak postawione pytanie po prostu nie wolno mi odpowiadać. Natomiast w życiu prywatnym – pewnie, że mam jakieś tam sympatie i antypatie polityczne.

Nie chcę filozofować, ale mnie się wydaje, że podziały w życiu są dość proste i polityka nie dzieli się na uprawianą przez ludzi z AWS-u, z SLD, z Unii Wolności, tylko uprawianą dobrze albo źle, uczciwie albo nieuczciwie. Tak to jest z polską sceną polityczną, że są na niej – jak w całym społeczeństwie – po prostu ludzie mądrzy i głupi. Uczciwi i nieuczciwi, kulturalni i chamscy, tak jak wszędzie indziej. Ja mam oczywiście wiele sympatii dla tych, którzy – wydaje mi się – są mądrzy, którzy pojmują politykę jako (nadużywana ostatnio definicja, ale dość trafna) „roztropne czynienie dobra wspólnego”. Natomiast ci, którzy traktują politykę jako pole do zdobywania kolejnych przywilejów, zaszczytów, stanowisk, władzy, pieniędzy, oczywiście nie mogą budzić mojej sympatii.

Tak jak każdy z Państwa ma swoje sympatie polityczne, ja też je mam. Staram się je zostawiać na progu telewizji, wchodząc do pracy, ale czy mi się to udaje? Jak powiadam – nie do mnie należy odpowiedź.

— *Czy zawsze Pan panuje nad swoimi emocjami?*

— Janusz, zdarzyło mi się kiedyś nie zapanować nad emocjami? [Pytanie skierowane do Janusza Wołcza, wydawcy programu „W centrum uwagi”].

Janusz Wołcz: Ale nikt nie zauważył!

To jest odpowiedź. Czasami, muszę przyznać, gdzieś tam wewnątrz wszystko się gotuje. To prawda. Ale staram się, żeby twarz była kamienią. Oglądając z Państwem migawki z moich programów, zauważyłem, że ja się dość często uśmiecham w trakcie programu. Nie wiem, czy to podświadoma próba rozładowania nerwowej atmosfery, która czasami w studiu panuje, czy też próba złagodzenia ostrych pytań, które padają pod adresem moich rozmówców.

Nie wiem, czy to dobre, będę się musiał zastanowić. Jeśli będę miał jeszcze okazję pooglądać kiedyś programy swoje tak, jak tutaj kilkanaście minut temu, zastanowię się nad tym, czy uśmiech wyeliminować z mojej pracy, czy nie.

— *Jak zmusza Pan do odpowiedzi ministra lub innego gościa, jeśli on nie chce odpowiadać na pytania?*

— Myślę, że widzowie mają swoją ocenę tego, co ktoś mówi. Na podstawie tej oceny oni następnie podejmują decyzję przy urnach do głosowania. Podejmują decyzję o tym, czy dany polityk lub partia, którą reprezentuje, podoba mu się czy nie. Natomiast moim obowiązkiem, jeśli już



Kamil Durczok odpowiada na pytania uczestników kursu.

zadają pytanie, jest uzyskanie na to pytanie odpowiedzi. Dopóki więc to ma sens, dopóki można drugi, trzeci, czwarty raz powtórzyć pytanie – i dopóki jest szansa na to, że minister, polityk, poseł na to pytanie odpowie, to tak długo należy go do muru przyciskać i próbować od niego odpowiedź wyciągnąć. Ale oczywiście jest tak, że w pewnym momencie ja obserwuję – a widzowie pewnie przed telewizorami również! – że to nie ma sensu, on i tak nie odpowie. Wtedy albo można to skomentować stwierdzeniem: „Panie ministrze, nie odpowiedział Pan na moje pytanie, w związku z tym przejdźmy do następnej kwestii”, albo po prostu przejść do

następnej kwestii, ocenę pozostawiając widzom i pokazując im, że to jest człowiek, który nie chce odpowiedzieć na pytanie.

To nie ja jestem ważny. Nie jest ważne to, jakie ja zadam pytanie. To nie jest najistotniejsze. Istotne jest, czy polityk zechce odpowiedzieć na to pytanie. Nie dla mnie, tylko dla widzów. Jeśli ktoś – to jest moja prywatna opinia – demonstruje w studiu pogardę dla dziennikarza, ewidentne lekceważenie, to tak naprawdę w mojej opinii on nie lekceważy dziennikarza, ale widzów. Dziennikarz jest po to, żeby umożliwić przekaz informacji między politykiem a widzami, ludźmi, którzy siedzą przed telewizorem i chcą się czegoś dowiedzieć. Brak odpowiedzi na pytanie zadawane przez dziennikarza jest także pewnego rodzaju demonstracją lekceważenia, niechęci wobec widza, wobec odbiorcy. Jeśli w tych kategoriach popatrzymy na konflikt

między dziennikarstwem a polityką, między dziennikarzami a politykami, to chyba on będzie bardziej czytelny, łatwiejszy do zrozumienia.

— *Czy mass media są już władzą polityczną w Polsce?*

— Sam się zastanawiam. Dwie odpowiedzi są możliwe. Życzeniowa brzmi: tak, owszem. Są, bo dziennikarzom udało się doprowadzić do dymisji polityków, którzy byli nieudolni, którzy nie potrafili odpowiednio sprawować swego urzędu, którzy popełnili nadużycia, którzy byli nieuczciwi w tym, co robili. Na przykład premier zdymisjonował w wyniku ostrego ataku prasy jakiegoś ministra. Premier podjął decyzję o tym, że minister X przestaje być ministrem, ponieważ zarzuty dziennikarskie potwierdziła jeszcze na przykład Najwyższa Izba Kontroli bądź jakiś inny organ. Ale chyba mogę znaleźć tyle samo przykładów na to, że media nie są władzą polityczną, bo mimo pokazania ewidentnej nieudolności i braku jakichkolwiek kompetencji premier bądź inny ważny urzędnik, polityk w państwie honoruje funkcjonowanie na jakimś stanowisku innego polityka, dyrektora departamentu, wiceministra, ministra. Zdarza się, że mimo iż prasa wyraźnie pokazała, że ktoś nie nadaje się do pełnienia danej funkcji – tę funkcję pełni nadal, bo decydują o tym układy partyjne, bo decyduje o tym umowa koalicyjna, bo decydują o tym jakieś nie do końca jasne relacje między ugrupowaniami politycznymi w samym rządzie. I jeśli te przykłady przywołać z pamięci, to ja muszę powiedzieć, że oczywiście nie, nie! Nie jesteśmy żadną władzą, bo pan X ciągle jest ministrem, mimo że dawno powinien przestać nim być.

— *Jednak zdarzyło się w Polsce już kilka procesów. Ludzie polityki procesowali się z prasą o zniewagę. Zdarzyło się Panu coś takiego?*

— Nie. Oczywiście było kilka takich sytuacji, w których politycy grozili, że oni się zastanowią czy przypadkiem to nie jest powód, żeby wytoczyć proces o naruszenie dóbr osobistych bądź o zniewagę, bądź o coś jeszcze. Na szczęście większość programów, które ja realizuję, to są programy realizowane na żywo, w związku z tym po prostu padają pytania i oczekuje się na nie odpowiedzi. W prasie jest trochę inna sytuacja. Z dużym zaangażowaniem obserwuję od kilkunastu dni, tutaj, na Śląsku, proces, jaki wytoczono jednej z najlepszych polskich dziennikarek, nie waham się użyć tego słowa, która pracuje i mieszka na Śląsku, ale pisuje do gazety ogólnopolskiej. Myślę o pani redaktor Barbarze Cieszewskiej z gazety „Rzeczpospolita”. Wytoczył jej ten proces szef Państwowej Agencji Restrukturyzacji Górnictwa, człowiek zarabiający 25 tysięcy nowych polskich złotych, a więc jak na polskie warunki świetnie!

Jednocześnie do pracy Agencji jest mnóstwo zastrzeżeń. Agencja miała nadzorować reformę polskiego górnictwa. Pewnie Państwo nie wiedzą, ale wczoraj okazało się, że program reformy tak naprawdę kompletnie się załamał. Trwa poszukiwanie winnych. I Agencja, która odegrała w tym programie bardzo istotną rolę i którą na pewno w dużej części można winić za to, że program się nie udał, wytacza proces dziennikarce, bo ośmieliła się napisać, ile zarabia Zarząd, ile zarabia prezes i ośmieliła się poddać krytyce działalność Agencji. Agencja jest utrzymywana z pieniędzy podatników. Tak naprawdę ta firma funduje podatnikom za ich pieniądze proces przeciwko dziennikarce, która napisała – w mojej opinii – prawdę. Sytuacja zupełnie żenująca. Ale ciągle politycy nie chcą w Polsce (chyba w części krajów na świecie też) pogodzić się z tym, że są na świeczniku, czyli pod ostrzałem, w ogniu nieustannej próby. To, co powiedzą, jest poddawane analizie, weryfikowane i są na ten temat wyrażane opinie dziennikarzy, ludzi z ulicy, pokazywane później w telewizji, opisywane w prasie. Politycy nie chcą tego zrozumieć. I wcale im się nie dziwię, z ich punktu widzenia to jest na pewno sytuacja nieprzyjemna.

— *Jakie było według Pana najważniejsze wydarzenie w Polsce w tym roku?*

— Musiałbym się zastanowić. Można by powiedzieć, że na pewno najważniejszym zdarzeniem był start czterech reform, wielkich reform, które mają naprawiać bardzo ważne dziedziny życia w Polsce: reforma służby zdrowia, ubezpieczeń zdrowotnych, edukacji, wreszcie reforma terytorialna kraju. Natomiast, jak się okazało, ten start to był początek wielu zdarzeń, które też są bardzo istotne, bo jak Państwo pewnie wiedzą, te reformy są w wielu miejscach poddawane bardzo ostrej krytyce. Istnieje bowiem groźba, że któraś z nich się załamie, na przykład tak, jak reforma górnictwa, bardzo ważna dla Śląska. Ja jestem Ślązakiem, ze Śląskiem jestem związany, tam mieszkam. Dojeżdżam do pracy do Warszawy, a nie odwrotnie. Śląsk jest dla mnie bardzo ważny. Tu, na Śląsku mieszkają 4 miliony ludzi i jest bardzo istotne, to, co się tu dzieje.

Teraz pojawia się pytanie, co jest istotniejsze: groźba załamania tej reformy, czy to, że ona wystartowała z początkiem roku. Trudno powiedzieć. Na pewno próba przebudowy ważnych dziedzin życia publicznego była bardzo ważnym zdarzeniem. Ale co z tej próby przebudowy wyniknie? Być może ważniejsze będą zdarzenia, które będą miały miejsce w drugiej połowie roku? Trzeba się będzie zastanowić nad tym, czy wystarczy pieniędzy na reformę ubezpieczeń zdrowotnych lub na reformę służby zdrowia. A co z pieniędzmi na reformę górnictwa? To są wszystko problemy, które w

konsekwencji mogą doprowadzić do rozpadu koalicji, do zmiany rządu, do zupełnie innego systemu rządzenia w Polsce. Żyjemy w ciekawych czasach i zdarzeń jest naprawdę dużo.

— *Czy w programie „W centrum uwagi” poruszane są oprócz polityki krajowej także kwestie polityki zagranicznej?*

— Są poruszane w niewielkim stopniu. Program ukazuje się na przykład w poniedziałek o 22.35, we wtorek o 21.05, ale zawsze następnego dnia pierwszą czynnością dyrektora agencji informacyjnej, a także autorów programu, jest przebadanie kawałka papieru, na którym są podane wyniki oglądalności, czyli dane, ile osób oglądało ten program. I jakoś tak się składa, że programy poświęcone problemom międzynarodowym, polityce międzynarodowej, są mniej chętnie przez Polaków oglądane niż te poświęcone sprawom krajowym.

Siłą rzeczy problematyka międzynarodowa pojawia się w związku z tym w programie „W centrum uwagi” raz na trzy, cztery tygodnie, czasami raz na dwa miesiące. Ale akurat miałem przyjemność prowadzić taki program w miniony poniedziałek, kiedy Borys Jelcyn urządził rankiem polityczne trzęsienie ziemi. W 40 minut zmienił premiera, ustalił termin wyborów, powołał nowego szefa gabinetu. Wieczorem temu właśnie poświęciliśmy program. Łączylismy się z Witkiem Laskowskim, który jest korespondentem Telewizji Polskiej w Moskwie i rozmawialiśmy w studiu z byłym ambasadorem Polski w Związku Radzieckim, później w Rosji, ze Stanisławem Cioskiem oraz z wiceministrem spraw zagranicznych, Radkiem Sikorskim.

— *W Rosji często mówi się, iż politycy nie są tymi osobami, które akurat powinny sprawować swoje funkcje. Czy z Pana kontaktów z politykami w Polsce można również wysnuć taki wniosek?*

— Na pewno jest tak, że wiele osób po prostu nie nadaje się do pełnienia swoich funkcji. Jeśli członkiem koalicji czy partii tworzącej koalicję rządzącą jest rasista, nie powinien być ministrem rządu polskiego. Jeśli ma rasistowskie poglądy, to kompromituje mój kraj. Moją ojczyznę. Nie nadaje się do tego, żeby reprezentować mnie czy część moich rodaków w parlamencie Rzeczypospolitej Polskiej. Ale to są moje prywatne odczucia.

Odpowiadając już tak zupełnie bezpośrednio na pytanie, musiałbym powtórzyć to, co mówiłem. Pewnie jest część lekarzy, która nie bardzo nadaje się do uprawiania swego zawodu. Jest część dziennikarzy – może ja też się nie nadaję? To powinni ocenić widzowie. Jest część nieuczciwych

policjantów. Jest część polityków, która nie powinna być politykami, która powinna się zająć na przykład uprawą sadzonek ogrodowych, warzyw, owoców, itd. Pewnie robiliby to z lepszym skutkiem niż idzie im posłowanie, ministrowanie czy uprawianie polityki na najwyższym szczeblu.

— *Czy są jakieś ograniczenia reklam w telewizji polskiej? Jakie są relacje między telewizją publiczną a komercyjną?*

— Czy są jakieś restrykcje i ograniczenia w reklamach publicznej telewizji? Tak, są, oczywiście. Stanowi to, o ile się nie mylę *Ustawa o radiofonii i telewizji* oraz *Ustawa o reklamie*. W telewizji publicznej nie wolno reklamować alkoholu, nie wolno reklamować wyrobów tytoniowych. Z alkoholem to jest oczywiście śmieszna historia, bo jak państwo pewnie się zorientowali, piwo bezalkoholowe robi u nas zawrotną karierę... Jeśli Państwo się rozejrzą po Cieszynie, pewnie tutaj też jest w tej chwili prowadzona kampania przez Stowarzyszenie na rzecz Legalnej Reklamy, mająca na celu zniesienie takich śmiesznych sytuacji, że gdzieś tam w rogu, małutkimi literami jest napisane „piwo bezalkoholowe”, a reklama pokazuje produkty, które niczym nie różnią się od alkoholowych.

Sytuacja jest śmieszna. Politycy również próbowali to unormować i doprowadzić do tego, że albo reklama będzie legalna zupełnie albo w ogóle zakazana. Nie udało się. Został utrzymany stan taki, jaki jest w tej chwili i stąd mamy te śmieszne sytuacje, gdzie wszyscy przychodzą do sklepu i mówią „bezalkoholowe” i mrugają okiem.

Natomiast jeśli chodzi o relację między nadawcami publicznymi i komercyjnymi, to oczywiście toczy się bardzo zażarta walka o to, kto na rynku jest najlepszy, kto ma najwięcej widzów i najwięcej słuchaczy. Jako anegdotę powiem Państwu, że mój dyrektor w I programie polskiej telewizji, kiedy się obudzi, zwykle dzwoni w pierwszej kolejności do swojego sekretariatu i pyta, kto w ogólnym bilansie poprzedniego dnia wygrał w oglądalności: my, czyli Jedyńka – I program publicznej telewizji czy Polsat, nasz główny rywal. Ostatnio jest w coraz lepszym humorze, bo Polsat ma coraz mniejszą oglądalność, a Jedyńka idzie w górę.

Nie zawsze tak było. Oczywiście, publiczna telewizja, która przez wiele lat miała niezagrożoną pozycję jako jedyna na rynku, teraz czuje oddech konkurencji na plecach. To dotyczy głównie Polsatu, który jest najmocniejszą komercyjną stacją w Polsce.

Jeśli chodzi o dzienniki, o wiadomości, z bólem to przyznaję, bardzo dobre są „Fakty” w prywatnej telewizji TVN. „Fakty”, nadawane o 19.00, to dziennik, który zyskuje coraz więcej widzów. Boję się pomyśleć o tym, co by było, gdyby TVN, w której „Fakty” powstają, można było

oglądać na terenie całego kraju, tak jak telewizję publiczną, a zwłaszcza Jedynekę. Kto wie, czy wtedy badania oglądalności nie wyglądałyby zupełnie inaczej. Być może „Fakty” byłyby znacznie bliżej oglądalności głównego wydania „Wiadomości”, naszego sztandarowego dziennika w Jedyńce, podstawowego źródła informacji dla większości Polaków.

Konkurencja jest bardzo ostra. Tu chodzi o pieniądze, o potężny rynek reklam. Kto z niego wykroi największy kawałek, ten może myśleć o inwestycjach, o rozbudowie, o kupowaniu nowych filmów, dobrych filmów, które na świecie powstają, o tworzeniu dużych produkcji rozrywkowych, teleturniejów, koncertów robionych z rozmachem – i oczywiście o dużej promocji, która napędza widzów. To działa trochę jak efekt śnieżnej kuli: kto ma więcej pieniędzy, ten ma coraz więcej widzów.

— Jak wygląda przygotowanie programu, jak wygląda telewizja od kuchni? To dotyczy także ubrania Pana, bo muszę powiedzieć, że w tych programach, które widzieliśmy, jest Pan w coraz lepszych garniturach i w coraz lepszej formie.

— Dziękuję za uwagi o moim stroju. Mam nadzieję, że jest to związane z tym, że się odchudzam. Im mniej jem, tym lepiej wyglądam. A poważnie rzecz biorąc? Jest oczywiście cała grupa ludzi w telewizji, którzy czuwają nad wyglądem prezenterów, dziennikarzy. Ja tę grupę omijam z daleka, jak tylko można. Może dzięki temu mam okazję i szczęście doczekać się później tak łaskawych ocen, jak Pani ocena. Ubieram się oczywiście sam. Nie doradza mi żadna stylistka, aczkolwiek, jak powiedziałem, stylistki są zatrudnione. Charakteryzacja w telewizji to jest warstwa pudru na twarzy, nie do zniesienia dla faceta. Straszne.

Najgorzej jest, jak człowiek zapomni o tym, wieczorem wsiada do samochodu i jedzie do domu. Ja mieszkam w Katowicach. Programy na żywo kończą się o 21.45 i często nie chce mi się już wchodzić do charakteryzatorni, żeby to wszystko zmyć. Pewnego dnia wsiadłem do samochodu od razu po programie i pojechałem do domu. Kiedy jechałem windą, wszyscy sąsiedzi dziwnie na mnie patrzyli. „Fajnie! – myślę sobie – poznają mnie z telewizji. Jestem osobą niezwykle popularną”. Wszedłem do domu, spojrzałem w lustro i już wiedziałem, dlaczego oni tak naprawdę na mnie patrzyli, co było tego powodem. Wyglądałem śmiesznie, bo ten makijaż telewizyjny jest jeszcze grubszy niż taki makijaż, który panie przygotowują.

Natomiast poza tym telewizyjna kuchnia jest ciekawa dla wszystkich. To prawda, ciągle to powtarzam, że na przykład sukces „Teleexpressu”, jednego z czołowych polskich programów informacyjnych polega między

innymi na tym, że on po raz pierwszy pokazał, co tam jest właściwie za tym facetem, który siedzi przy biurku. „Teleexpress” pierwszy pokazał ścianę monitorów, realizatorów, stół wizyjny. To widza ciekawi, bo na co dzień po prostu tego się nie pokazuje. Ta kuchnia jest oczywiście ciekawa. To jest bardzo skomplikowane, ja się zawsze zastanawiam, jakim cudem w ogóle dochodzi do tego, że gdzieś w różnych miejscach siedzą 3 osoby, rozmawiają ze sobą, a cały kraj może to oglądać.

*Opracowała i przygotowała do druku
Agnieszka Szol-Lebkowska.*

Kamil Durczok jest popularnym dziennikarzem, prowadził poświęcony polityce program publicystyczny „W centrum uwagi” (nadawany przez Jedynkę – 1. program telewizji polskiej). Obecnie prowadzi „Monitor-Wiadomości”.

Studenci letniej szkoły spotkali się z Kamilem Durczokiem 13 sierpnia 1999 r. w Cieszynie. Opublikowane tu wypowiedzi pochodzą z tego spotkania.

PO POLSKU

Nasi studenci piszą po polsku

Drukujemy wybór z tekstów napisanych przez studentów Szkoły Języka i Kultury Polskiej UŚ i publikowanych w ubiegłych latach w periodyku „Wiadomości Letniej Szkoły”.

Listy z Cieszyna

Droga Aniu,

Najpierw myślałam, że napiszę list o Katowicach, ale o Katowicach napisałam w ostatnim liście. Dziś napiszę o Cieszynie. Dwa dni temu spacerowałam po Cieszynie. Przedwczoraj była niedziela. O szóstej rano wstałam i o dziewiątej zjadłam śniadanie, potem poszłam do centrum Cieszyna. Po drodze wrzuciłam list do skrzynki pocztowej na dworcu PKS. Na dworzec poszłam z panią Teresą i panią Marysią. One poszły razem do kościoła. W Cieszynie jest dużo kościołów. Potem spacerowałam po Cieszynie sama. Najpierw poszłam na rynek. Tu zrobiłam zdjęcie starego hotelu i fontanny. Następnie poszłam do Starego Targu i doszłam do ulicy Głębokiej na dół (do zamku). Przy tej ulicy były kawiarnia, herbaciarnia i różne sklepy: księgarnia, sklep z mięsem i wędliną, sklep z kryształami i tak dalej. Jedne sklepy były czynne, ale inne były nieczynne. Czasem słyszałam, że dzwoniły dzwony kościołów. Szukałam antykwiariatu. Wiesz, że bardzo lubię stare książki. Niestety nie mogłam go znaleźć. Cieszyn jest bardzo mały, ale piękny i historyczny. Podoba mi się to miasto.

Twoja Akiko

Akiko Kobayashi (Japonia)
(1996, nr 2)

Moi Drodzy Rodzice,
jestem tutaj w Polsce drugi raz, próbuję poznać Polskę. Bardzo mi się tutaj podoba. Wszyscy studenci są sympatyczni i mili. Nie mogę także dość pochwalić nauczycielek, bo każda jest przyjemna i uczy świetnie. Jest bardzo gorąco, więc czasami łatwo zasnąć podczas wykładów w południe.
Napiszę do was więcej, kiedy dostanę jeszcze wolną chwilkę.
Bardzo mocno pozdrawiam Was.
Wasz kochający syn -

John Riddel (USA)
(1999, nr 1)

Drodzy Mamo i Tato!
Cześć. Wszystko jest dobrze w Polsce. Teraz jestem w szkole i jestem bardzo szczęśliwy.
Wczoraj mieliśmy bardzo miłe spotkanie. Śpiewaliśmy w kawiarni polskie piosenki, piliśmy piwo i pepsi. To był bardzo szczęśliwy czas. Potem szedłem do domu i spałem na wygodnym łóżku.
W szkole mamy bardzo dobrą nauczycielkę. Ona mówi po polsku bardzo, bardzo dobrze.
Jeden tydzień temu jechałem do kopalni z moją klasą. Jechałem do kopalni windą. Była bardzo ciekawa. Potem jechaliśmy do muzeum. Także jedliśmy obiad i słuchaliśmy koncertu. Po koncercie wróciliśmy do Cieszyna, potem szedłem do domu i spać.
To wszystko teraz.
Pozdrawiam Was serdecznie –
John

John Abramovich (USA)
(1999 nr 2)

List do Świętego Mikołaja

Kochany Święty Mikołaju!
Przepraszam, że piszę do Ciebie dopiero teraz pierwszy raz, ale do tej chwili nie potrzebowałem Twojej pomocy. RATUNKU! To jest prawdziwy problem. Naprawdę.
Gramatyka polska sprawia mi trudności. Proszę daj mi lepszą pamięć, bo często nie pamiętam, jak muszę mówić i pisać po polsku. Na przykład, przyimki i „ja”, chyba my nie lubimy się. A dokonany i niedokonany! O

Boże! Gdyby to nie było możliwe, proszę uprościć język polski, tym pomógłbyś innym ludziom. Piszę do Ciebie, bo moje imię pochodzi od Twojego. Bardzo dziękuję. Mam czas, mogę czekać długo na odpowiedź. Wszystkiego dobrego.

PS O innych trudnościach napiszę za rok w drugim liście. A przepraszam za dużo błędów.

Gdy przeczytasz ten, list zrozumiesz mnie!

Klaus

Klaus-Jürgen Gentsch (Niemcy)

(1996, nr 4)

Budzę się w poniedziałek rano...

Niżej prezentujemy tekst ułożony przez studentów w czasie wieczornych gier językowych. Zadanie polegało na dopisaniu dalszego ciągu do tekstu na temat poniedziałkowej pobudki.

Budzę się w poniedziałek rano i spoglądam w Lustro – widzę całkowicie obcą twarz. Okazuje się, że wraz z nową fizjonomią zyskałem absolutnie inną osobowość i tożsamość...

Stałem się kobietą – blondynką imieniem Barbie. Poszłam do sklepu i kupiłam nową sukienkę. Wszyscy mężczyźni patrzyli na mnie pożądliwie. Umówiłam się na romantyczną kolację z Kenem – oczywiście przy świecach w stołówce. Ale on niestety nie przyszedł. Czekala tam na mnie Puma¹.

Danča Pendeva (Macedonia), Emmanuelle D'Hallvin,

Sophie Lempicki (Francja), Vaidas Morkevičius (Litwa), Elena

Szczetniewa (Rosja), Anja Beckert (Niemcy), Małgorzata

Antkowiak, Daria Springer (Polska)

(1998, nr 3)

¹ Puma to pies z podręcznika Magdy Pastuchowej i Aleksandry Janowskiej zatytułowanego *Dzień dobry* (zob. informację na s. 46).

Z kopalni do palmiarni

W niedzielę byliśmy na wycieczce. Wyjechaliśmy (my – grupa trzecia, ale bez Johna) autokarami do Tarnowskich Gór już o wpół do ósmej. John zaspał i obudził się o godzinie ósmej. Kiedy byliśmy już przed kopalnią srebra, John przyjechał taksówką! Byliśmy bardzo szczęśliwi, kiedy go zobaczyliśmy. Podzieliliśmy się na cztery grupy i zjechaliśmy do kopalni. W kopalni było bardzo zimno, ciemno i mokro, ale nam się podobało. Spędziliśmy tam półtorej godziny. Widzieliśmy, gdzie pracowali górnicy i płynęliśmy łódkami. Kopalnia ma około 70 metrów głębokości, ale byliśmy tylko 40 metrów pod ziemią.

Po tej wizycie pojechaliśmy autokarami do Gliwic. Kiedy przyjechaliśmy tam, byliśmy bardzo głodni, ale niestety musieliśmy najpierw obejrzeć egzotyczne rośliny w palmiarni. Widzieliśmy bananowce, drzewa kawowe i pomarańczowe, chińskiego żółwia, dużo kaktusów i kilka świnek morskich w klatkach. Wreszcie o wpół do czwartej poszliśmy do restauracji wietnamskiej na obiad. Jedliśmy dużo ryżu, ryby, kurczaki i być może żabę. Piliśmy tylko jedną małą szklankę soku. Potem spacerowaliśmy po mieście i około piątej odjechaliśmy autokarami do Cieszyna (z Johnem). Byliśmy bardzo zadowoleni z naszej wycieczki.

Sabina Accetto (Słowenia), Elena Szczetniewa (Rosja), Primož Čučnik (Słowenia), Vicki Maass (Niemcy), Danica Messerli (USA), Vaidas Markevičius (Litwa), Danča Pendeva (Macedonia), Ian Quarrinton (Wielka Brytania), John Riddel (USA), Mojca Rogač (Słowenia), Anastasija Trutnywa (Ukraina)
(1998, nr 2)

Turyści na Górnym Śląsku

Wczorajsza wycieczka naprawdę bardzo mi się spodobała, zwłaszcza pobyt w kopalni i spacer po operze. Ciekawe było dla mnie poczucie bezradności, samotności i smutku, jakie miałam w kopalni, kiedy zjeżdżaliśmy windą na dół i potem, kiedy płynęliśmy łódkami, kiedy szliśmy wąskimi i niskimi chodnikami. Było ciemno, wilgotno, zimno, bardzo cicho – tylko przewodnik mówił o różnych rzeczach związanych z kopalnią i górnikiem, ale nie słuchałam, czułam, że od człowieka nic nie zależy. Wiedziałam, że jeśli musiałabym pracować w takiej kopalni, pod ziemią albo gdzieś, gdzie

nie ma wyboru drogi ani wyjścia, to nie wytrzymałabym ani chwili. Więc czułam się bardzo dziwnie, jakbym przypominała sobie o czymś już od dawna zapomnianym. Ta wycieczka była dla mnie nie tylko zabawą, nie tylko czymś ciekawym i interesującym, lecz także dała mi możliwość zrozumienia siebie lepiej.

Gergana Gadżewa (Bułgaria)
(1997)

Dziewczyna w czerwonej sukni

Dziewczyna w czerwonej sukni siedzi i myśli: „głowa jest bardzo ciężka”, więc musi ją położyć na kredensie. Ona jest poważna i melancholijna, bo chciała oglądać serial w telewizji, ale nie ma telewizora. Jest bardzo biedna i nawet nie ma pieniędzy na buty. Możliwe, że ktoś się zlituje i kupi jej mały telewizor. Naszym zdaniem ona prędzej potrzebuje wózka inwalidzkiego niż telewizora, bo ma krzywe nogi.



*Gordon Jackson (Kanada),
Marek Matuszewski (Niemcy)*
(1999 nr 2)

Co musisz robić, żeby...

...ludzie cię lubili

Najpierw trzeba pamiętać taką rzecz: odnoś się do innych tak, jak chcesz, żeby inni odnosili się do ciebie. A szczególnie: interesuj się znajomymi bardziej niż sobą: Lubimy mówić o sobie, ale trzeba umieć i słuchać. Przy poznaniu i przedstawieniu zapamiętuj imiona i nazwiska przedstawionych ludzi. Dla rozmówcy zawsze jest przyjemnie słyszeć swoje imię. Bądź zawsze uważnym w stosunku do rozmówcy, słuchaj, co on mówi i reaguj na usłyszane. Jeśli nie chcesz, aby ludzie unikali cię, nie mów zawsze tylko o sobie. Nie przerywaj rozmowy, nie bądź obojętny. I ostatnie: uśmiechaj się częściej, a ludzie będą odnosili się do ciebie z sympatią.

Tetiana Kaczorowska (Ukraina)
(1999 nr 3)

Wiersz

Zawsze dziecko

dziecko rana,
zapach słodkich łez
w twoim sercu
zasmuci mnie,
dlatego wiem,
że będzie dzień,
kiedy będziesz
dzieckiem wieczoru
gotowym na noc

Luc Palmen (Belgia)
(1999, nr 2)

Mój ideał mężczyzny, mój ideał kobiety

Lubię takie kobiety, które mają to, czego ja nie mam, dlatego lubię łagodne kobiety. Moim zdaniem wszystko zależy od jej charakteru. Nawet gdyby ona miała brzydki wygląd, jeżeli ona byłaby wesoła i łagodna, byłaby dla mnie czarującą kobietą.

Taku Goto (Japonia)

Myślę, że moimi idealnymi mężczyznami są: Michael Jackson, Mick Jagger, Prince, książe Karol (Charles) itd... Pierwszy bardzo mi się podoba, bo on jest najbielszy z wszystkich czarnych mężczyzn na świecie... Wolę od innych Micka Jaggera – kiedy go widzę, przekonuję się do teorii ewolucji (ludzie są potomkami małp)... Prince jest najbardziej kompletną istotą ludzką: on jest równocześnie mężczyzną i kobietą. Karol – uroczy książe – lubią go kobiety w każdym wieku i nigdy się nie nudzą w jego obecności...

Anca Birzescu (Rumunia)
(1999, nr 4)

Węgorz w łóżku, czyli coś na kłopoty z ortografią

Oto dyktanda przygotowane przez słuchaczy letniej szkoły specjalnie dla wszystkich miłośników ortografii.

W zielonym łóżku leżał sobie węgorz. Należało ono do węża Hipolita, który hulał sobie w Kopenhadze. Mieszkał w hotelu z żoną żmiją. Hipolit lubił jeść rzepy, pić żubrówkę i dawać żonie żółte róże.

Ramune

Chętnie chodzimy do stołówki, choć przecież dróżka z hotelu nie jest krótka. Musimy wspinać się coraz wyżej w górę i chodzić po wąskich schodach. Na drzewach skacze dużo wiewiórek, które kłócą się z wróblami, próbując zebrać jak najwięcej orzechów. W tym pomaga im chór przepiórek oraz jaskółki, chociaż są tchórzliwymi zwierzętami. Wtedy robi się w pobliżu hałas jak w dżungli.

Na stole w stołówce leży dużo różnych narzędzi, na przykład: noże, łyżeczki do herbaty, talerze, widelce, szklanki, z których studenci piją chętnie gorącą czekoladę i jedzą chleb z dżemem, po czym późno wracają do schroniska.

Liana

(1999, nr 2)

Dlaczego właśnie w Cieszynie?

Już drugi raz jestem w Szkole Języka i Kultury Polskiej, a po raz pierwszy w Cieszynie. Moim zdaniem wszyscy profesorzy oraz lektorzy naprawdę starają się nie tylko, aby nas nauczyć poprawnie mówić po polsku, lecz opiekują się nami, myślą o naszych potrzebach – jednym słowem zawsze są blisko. Poza tym szczególnie dbają, żebyśmy wszyscy się zaprzyjaźnili i żeby nasze kontakty trwały w przyszłości. Tak jest. To największy plus tej szkoły i dlatego szczerze i gorąco polecam wszystkim obcokrajowcom, aby przyjechali i tego doświadczyli.

Tomislav Matović (Chorwacja)

(1998, nr 4)

„W tym roku jadę do Polski” – to była moja odpowiedź na pytanie przyjaciół z Kolonii, gdzie będę spędzać wakacje. Niektóre twarze były zdziwione – ja nie studiuję polonistyki, ani języków słowiańskich. Faktem jest, że mój polski zawdzięczam tylko moim rodzicom. A co się dzieje w literaturze, teatrze, kinie i kulturze polskiej? Na te pytania szukam w Cieszynie odpowiedzi. Na co dzień, przez cztery tygodnie uczestniczę w dyskusjach, seminariach i programach kulturowych, które mi Polskę przybliżają. Poza tym poznaję ludzi z 28 innych krajów, ich kulturę i zwyczaje. I odwrotnie, ja też przedstawiam kraj, w którym mieszkam i studiuję. Nasza ciekawość sięga poza granice i nas w Cieszynie łączy. Z pewnością pod koniec miesiąca nie tylko moja wiedza o Polsce (Mickiewicz, Herbert, Kutz..., piwo), ale też mój krąg przyjaciół z całego świata poszerzy się.

Olga Duchniewska (Niemcy)
(1998, nr 3)

Legendy różnych narodów

Rzucić rękę

W związku z pochodzeniem nazwy „Antwerpia” jest dramatyczna legenda.

Kiedyś, nie wiem dokładnie kiedy, żyli księżniczka i dwaj młodzieńcy. Jeden z nich był brzydki, drugi (który nazywał się Bawo) przystojny. Obaj byli zakochani w tej księżniczce i walczyli o miłość dziewczyny. Gdy doszło do pojedynku między nimi, przystojny chłopak odciął brzydkiemu chłopakowi rękę i wrzucił ją do rzeki, która nazywa się Schelde.

„Rzucić” to po niderlandzku „werpen”, a ręka - „hand”, w ten sposób powstała nazwa „(h)andwerpen”.

Marian Polus (Belgia)
(1998, nr 2)

Powietrze, woda, ogień i kobiety

Samotność jest perfumami myślenia, ale Arystoteles zawsze mówił, że człowiek jest „zoon kinonikoí”, czyli zawsze musi być otoczony ludźmi. Jeżeli nie jest, to musi być albo zwierzęciem, albo bogiem. To stwierdzenie jest *argumentum absurdum*, lecz jest prawdą. Dlatego tylko za pomocą innych możemy osiągnąć wiedzę. Ale jaką wiedzę? Sokrates zawsze mówił,

„wiem tylko jedną rzecz, że nic nie wiem”. Powyższe stwierdzenie jest chyba prawdą, bo o nim myślałem podczas pisania dyktanda. Ale czy ten poziom wiedzy wystarczy? Potrzebujemy wiedzy, żeby walczyć i cieszyć się: walczyć, żeby się cieszyć i cieszyć się z walki, kiedy walczymy z żywiołami natury, czyli z powietrzem, wodą, ogniem i kobietami. Każda walka jest niepowtarzalna, dlatego Heraklit powiedział: „nie możesz przepłynąć dwa razy tej samej rzeki”. Ta filozofia potwierdza ważność chwili i potrzebę zachowania istotnych momentów we własnym życiu. Fascynująca rzecz i oksymoron to fakt, że filozofia, która podkreśla wartość chwili, jest w użytku przez ostatnie dwa tysiące lat. Oczywiście, niektóre rzeczy się zmieniły. Na przykład trzy tysiące lat temu było możliwe, że wojna została zaczęta o kobietę, tak jak w Troi.

Janis Papadimitriu (Grecja)
(1999, nr 3)

DLACZEGO NIE MA CZŁOWKA?

(tekst tylko dla początkujących)

1. Język polski jest trudny – to już wiesz.
2. Pocieszenie 1.: inne języki też są trudne.
3. Pocieszenie 2.: niektórzy ludzie nauczyli się języka polskiego (znamy przykłady i możemy podać nazwiska).
4. Ty na pewno lubisz się uczyć.
5. Lubisz matematykę – to dobrze: czasami język polski jest logiczny.
— Mówimy widzę kota, tygrysa, syna..., bo wszystko, co żyje, ma w Gen. sg -a.
6. Nie lubisz matematyki – też dobrze: język polski nie jest logiczny (to nie matematyka):
— Mówimy widzę człowieka (nie człowka), bo tak mówimy.
— Mówimy widzę pieska (nie pieseka), bo tak mówimy.
7. Nauczyciele są tacy mądrzy, bo uczyli się języka polskiego bardzo długo – jak długo, nie powiemy.

Ola i Magda
1996, nr 2

Wyboru dokonała Agnieszka Madeja

Krótko o warneńskiej Filii Zespołu Szkół przy Ambasadzie RP w Sofii (1997-1999)

13 października 1997 roku na podstawie rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej Dyrektor ZSO mgr Jerzy Polański podpisuje decyzję o założeniu Filii Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego przy Ambasadzie RP w Sofii z siedzibą w Warnie. W nowej szkole rozpoczyna naukę w klasach 1., 3., 4. i 8. Szkoły Podstawowej oraz 3. Liceum Ogólnokształcącego 48 uczniów. Skład grona pedagogicznego: Aleksandra Drużyłowska-Tenewa – dyrektor, Urszula Janota Christowa – język polski, Elżbieta Peewa – język polski i matematyka, Miłka Wrangowa – historia i Barbara Dimitrowa – geografia.

Już pierwszy rok działalności przynosi pierwsze osiągnięcia: absolwentów, którzy zdali pomyślnie egzaminy na studia do Polski (Katarzyna Rupow i Damian Spasów) oraz dyplom dla Krystiana Tonewa, który uzyskał trzecie miejsce w finale Poloniady 1998 roku.

Popierana bardzo aktywnie przez rodziców, Polonię i sympatyków bułgarskich szkoła w Warnie otwiera bibliotekę liczącą dwa tysiące tomów i wideotekę, organizuje szereg uroczystości o zasięgu nie tylko szkolnym, ale i polonijnym: Gwiazdka, 8 Marca, powitanie wiosny, 3 Maja, Dzień Dziecka, spotkanie polonijne w Muzeum Władysława Warneńczyka i inne.

Siedzibą Filii jest początkowo budynek Prywatnego Gimnazjum Handlowego na ul. Zamenhofa 7. Od 1999 roku, dzięki zjednoczonym wysiłkom Przyjaciół, szkoła uzyskuje własne lokum: odnowiony w czynie społecznym i pięknie wyposażony przez szereg instytucji budynek na ul. Maryna Drinowa 68.

Szczera życzliwość Ambasadora RP w Sofii Jarosława Lindenerga, bardzo dobra współpraca z Konsulatem Generalnym RP w Warnie i samym Konsulem Generalnym oraz Ministrem Pełnomocnym Krzysztofem Krajewskim, poparcie ZSO w Warszawie i Dyrektora M. Bielskiego z Sofii pozwalają patrzeć optymistycznie na perspektywę rozwoju szkolnictwa polskiego w warneńskim okręgu konsularnym.

mgr Aleksandra Drużyłowska-Tenewa, dyrektor szkoły

RECENZJE

Czarne strofy?

F. Śmieja, *Wiersze wybrane*, wybór, wstęp i opracowanie M. Pytasz, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1998.

Florian Śmieja urodził się w Zabrze-Kończycach w 1925 roku. W 1940 roku został wywieziony na roboty do Niemiec, zbiegł do Belgii i tam ukrywał się aż do wkroczenia I Dywizji Pancerniej gen. Kazimierza Maczka, by ochotniczo wstąpić do wojska polskiego. W roku 1947 ukończył liceum humanistyczne. Podjął studia na University of Ireland w Cork (hispanistyka, anglistyka). Po powrocie do Anglii (1950) kontynuował studia iberystyczne, które ukończył w roku 1962 doktoratem. W roku 1970 został profesorem zwyczajnym literatury hiszpańskiej University of Western Ontario w Kanadzie. W 1991 roku przeszedł na emeryturę.

Florian Śmieja był – obok Adama Czerniawskiego, Bogdana Czaykowskiego, Bolesława Taborskiego – współtwórcą londyńskiej poetyckiej grupy „Kontynenty”.

„Dziwny ten krzew, wschodzący w naszym emigracyjnym ogrodzie – i na glebie tak nie sprzyjającej. Gdybym był ogrodnikiem, podlewałbym go starannie rano i wieczór, bo dziwność czasami staje się cenną” – tak postrzegał młodych kontynentczyków Witold Gombrowicz. Choć nazywał ich „ćwierć-Anglikami” (*Ich angielskość tłumi, onieśmiela ich polskość. Ich polskość nie pozwala angielskości, by się w nich wszczepiła* – pisał), to byli mu bliscy, gdyż tak jak i on mieli świadomość, że mimo pewnej izolacji, są integralną częścią emigracyjnej społeczności. „Byliśmy otwarci na anglosaskość, rozumieliśmy ją silniej niż nasi starsi koledzy; choć poczuliśmy się do polskości, nie mieliśmy do niej jakby dostępu [...]; nie pasowaliśmy do starszych. Różniliśmy się widzeniem świata [...], próbowaliśmy widzieć historię obiektywnie. Choć również byliśmy jej uczestnikami czy nawet ofiarami. Byliśmy przekorni wobec zastanej sytuacji” – wspomina Florian Śmieja.

Owa przekorność zaowocowała w przypadku Śmiei kilkoma tomami poezji: *Czuwanie u drzwi* (1953), *Powikłane ścieżki* (1964), *Kopa wierszy* (1981), *Wiersze* (1982), *Jeszcze wiersze* (1984), *Not a Tourist* (1986), *Prze-*

zorność czasu (1992), *Ziemia utracona* (1994). Choć autor żartobliwie wyznaje: „W rzeczy samej pisałem sobie a Muzom”, to jego utwory świadczą o tym, że tak naprawdę na spotkanie z czytelnikiem bardzo liczył, gdyż – jak twierdził Gombrowicz – „pisanie choćby arcydzieł, to tylko profesja – a sztuka, prawdziwa sztuka, to dokazać, aby książkę przeczytano”.

Poezje Śmiei nie mogą skarżyć się na brak odbiorców. Zwłaszcza teraz, gdy do rąk polskiego czytelnika trafił wybór wierszy, reprezentujący cały dotychczasowy dorobek poetycki Śmiei, a więc utwory z lat 1953-1994.

Antologia, którą otwiera wiersz o znamionym tytule *Czarne strofy*, jest utrzymana w tonacji „laurowo ciemnych pieśni”. Ich autor stara się „utrwalić krzyk”; nic więc dziwnego, że szaroskrzydła jest poetycka wena. „Teksty, które targają człowiekiem”, to historia poety, co „nie sprostał słowu”; opowieść o maszynie do pisania, której widok wywołuje smutek, rozżalenie, wstyd. Trzeba pozbyć się żelastwa, by nie dręczyło dłużej swą nieprzydatnością. Czarne pudło z pisarskiego atrybutu staje się „urną z prochami snów”. Nieprzydatność jest chorobą śmiertelną, zapadają na nią także ludzie. Przypomina o tym wiersz *Astronautka*, który jest zapisem „misterium śmierci samotnej”. Cmentarz to jedyne miejsce „gdzie już na zawsze ludzi nic nie dzieli”, tu ożywają wspomnienia utraconych bezpowrotnie bliskich (*Pamięć w Zaduszki*), niewinnie zabitych (*Żalobnicy*), przedwcześnie zmarłych (*Bliskie stosunki*). Poeta przywołuje obraz „chłopięcej duszy poety” (*Na śmierć poety*), wizerunek „męża stanu pod wozem historii” (*Niezlomny*), widok tych, co „razem chociaż osobno” (*Polski Sierpień*).

Przed smutną rzeczywistością i bolesnymi wspomnieniami schronić się można w świecie poetyckiej wyobraźni. Ucieczce „poza zasięg złości” towarzyszy „serdeczny miraż oazy” (*Clapham Common*), pamięć „ziem utraconych”. Emigrowanie staje się smutnym synonimem ludzkiej egzystencji: „odchodzimy od rodzin, wyrastamy / z dzieciństwa, kolegów starych opuszczamy” (*Exsules*).

Poeta ma świadomość, że z jego wierszy „smutek bije”, potrafi jednak zdystansować się wobec opisywanej rzeczywistości, żartobliwie udzielając jej napomnienia: „inaczej bowiem, żeś okrutna muza / co mnie rozmyślnie na mękę wystawia / żeby nie brakło wierszy bez nadziei” (*Monit*). Wśród poezji Śmiei są i inne utwory objawiające sporą dozę humoru: *Kwiaty polskie* – gra językowa oparta na homonimii, *Nagrobek sonetu* – nieskuteczna krytyka formy, co „przypomina brzęk fałszywych monet”, *Kanadyjski incydent* – dramat arktycznego liska jako źródło głębokiej refleksji: „A swoją drogą to ładnie ze strony / bogatej pani że dała mu szansę / by się pokazał w eleganckim świecie”. Wiersze te, choć zaprawione gorzką ironią, wywo-

łują uśmiech czytelnika. Łatwiej wtedy zauważyć, że zmrok jest „czarną zmwą ufności”, że „przez noc [...] / zazieleniły się paki”, że „piwnica przestała / straszyć mroczną przeszłością”, że cieszy czerń wrony, gdy „lepsi goście niedysponowani”, że i bociany, co „świadczą o swojej ziemi czarno na białym” mają swój wkład w realizację marzeń poety. Okazuje się, że czerń niekoniecznie musi być kolorem rozpaczy.

Kroczący powikłanymi ścieżkami odnalazł swe „miejsce rzeczywiste”. Poetycki *Autoportret* – utwór wieńczący antologię – jest na to dowodem: „prawdziwie powołany [...] / zatajam ściśle znak okaleczenia / jadowitego ukąszenia życia”.

Jak Śmieja interpretuje to powołanie wyjaśniał podczas rozmowy z Krzysztofem Lisowskim: „Na emigracji człowiek zaczyna rozumieć, że może jego sens polega na tym, żeby być ogniwem między polską kulturą a innymi”.

Znak okaleczenia, stygmat „prawdziwie powołanego” to – w przypadku Śmiei – piętno samotności, którego nie sposób zataić.

Antologię wierszy Floriana Śmiei dopełnia *Posłowie* Marka Pytasza; jest ono nie tylko próbą przybliżenia czytelnikowi sylwetki poety, realiów w jakich żył i tworzył, problemów, które poruszał. To także, a może przede wszystkim, opowieść o spotkaniu z poezją.

Obcowanie z tekstem to – według Czesława Miłosza – obcowanie z „głosami wielu epok i wielu pokoleń równocześnie”, to wyprawa w przeszłość, w której szukamy „tego, co dla nas użyteczne, żywe, silne, jako myśl i forma”. *Wiersze wybrane* są zaproszeniem do takich właśnie spotkań i poszukiwań.

Agnieszka Krysińska

KRONIKA

Konferencje

Od 22 do 26 kwietnia mgr Aleksandra Ahtelik, mgr Barbara Serafin i mgr Ewa Biłas brały udział w międzynarodowej konferencji we Lwowie na temat różnych przejawów końca.

Zaproszone zostały na tę konferencję dzięki Andrzejowi Porytce i jego żonie –poetce Mariannie.

W lipcu na konferencji zorganizowanej z okazji 25-lecia krakowskiej szkoły letniej dr R. Cudak i dr J. Tambor przedstawili referat na temat edukacji literackiej w kursach dla studentów zaawansowanych.

W dniach od 16 do 19 września podczas międzynarodowej konferencji naukowej „Polonistyka w świecie. Nauczanie języka i kultury polskiej studentów zaawansowanych” zorganizowanej przez Centrum Języka i Kultury Polskiej dla Polonii i Cudzoziemców UMCS w Lublinie i Stowarzyszenie „Bristol” swoje referaty przedstawili: dr Jolanta Tambor i dr Romuald Cudaka o wykorzystaniu komputera w nauczaniu języka polskiego jako obcego, dr Romuald Cudak o tekście literackim w nauczaniu i dr Anna Synoradzka o polonistyce w Tuluzie.

Szkoła letnia

28 sierpnia rozpoczęła się w Cieszynie IX letnia szkoła języka,

literatury i kultury polskiej Uniwersytetu Śląskiego. Przybyło na nią ponad stu studentów z całego świata: z Austrii, Belgii, Bułgarii, Czech, Danii, Egiptu, Francji, Grecji, Japonii, Jugosławii, Kanady, Litwy, Łotwy, Macedonii, Mołdawii, Portugalii, Republiki Federalnej Niemiec, Rosji, Rumunii, Słowacji, Słowenii, Turcji, Ukrainy, USA, Węgier i Wielkiej Brytanii. Wiele osób przyjechało do szkoły w ramach współpracy między Uniwersytetem Śląskim oraz innymi uniwersytetami europejskimi: Uniwersytetem Palackiego w Ołomuńcu, Uniwersytetem im. św. Cyryla i Metodego w Skopju, Uniwersytetem Mateja Bela w Bańskiej Bystrzycy, Uniwersytetem im. Marcina Lutra w Halle, Uniwersytetem w Trewirze i Uniwersytetem le Mirail w Tuluzie oraz Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Erfurcie. W dniu uroczystego otwarcia szkoły wykład inauguracyjny pod tytułem *Język jako polityczna wartość w dziejach narodu polskiego* wygłosiła profesor Irena Bajerowa (zapis wykładu publikujemy w tym numerze).

Prócz uczestnictwa w codziennych zajęciach lektoratowych oraz wykładach z kultury i literatury polskiej, studenci mogli wybierać w bogatym programie kulturalnym i rekreacyjnym. Wysłuchali na przykład zorganizowanego specjalnie dla nich koncertu *Blues & rock* w wykonaniu Ireneusza Dudka, jednego z najwybitniejszych polskich muzyków bluesowych oraz interpretacji *Requiem Amadeusza Mozarta* na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki „Viva il Canto”.

Polskie kino adaptujące literackie dzieła Henryka Sienkiewicza odkrywali na projekcjach filmów Jerzego Hoffmana (*Potop*, *Pan Wołodyjowski*, *Ogniem*

i mieczem). Fragment najnowszej historii polski widzianej z perspektywy młodzieży licealnej pokazany im został w filmie Magdaleny Łazarkiewicz *Ostatni dzwonek*. Po projekcji studenci mieli okazję spotkać się z panią reżyser i porozmawiać z nią zarówno o obejrzanym filmie, jak i o kondycji współczesnego polskiego kina.

Specyfikę folkloru Górnego Śląska i dawnego życia codziennego na tych terenach poznawali na wieczornym spotkaniu z profesorem Jerzym Wuttkem, zwiedzając zabytkową kopalnię srebra w Tarnowskich Górach, podziwiając występ zespołu tanecznego „Silesianie” i uczestnicząc w tradycyjnej biesiadzie z krupniakiem, tyskim piwem, przy akompaniamencie śląskich piosenek. O współczesnych problemach społeczno-politycznych cieszyńskiego pogranicza, Górnego Śląska i całego kraju mogli się dowiedzieć w rozmowie z dr. Janem Olbrychtem, Marszałkiem Województwa Śląskiego, a także z Kamilem Durczkiem, jednym z najpopularniejszych dziennikarzy młodej generacji (fragmenty jego wypowiedzi publikujemy w tym numerze).

Niezapomnianym doświadczeniem była wizyta w krakowskim domu Stanisława Lema, słynnego na cały świat pisarza science fiction (fragmenty wypowiedzi pisarza publikujemy w tym numerze).

15 sierpnia odbyło się w Letniej Szkole *Dyktando*, czyli konkurs o tytuł Cudzoziemskiego Mistrza Polskiej Ortografii. Zostali na nie zaproszeni także studenci z innych odbywających się w Polsce latem szkół języka polskiego dla obcokrajowców. Zwycięstwo w konkursie odniosła Agnieszka Fabri (Węgry) z warszawskiego „Polonicum”. Uroczyste zamknięcie letniej szkoły języka, literatury i kultury polskiej UŚ i rozdanie certyfikatów nastąpiło 28 sierpnia.

Kurs dla niemieckich nauczycieli

W dniach od 20 do 30 września trwał w katowickiej siedzibie Szkoły Języka i Kultury Polskiej kurs języka polskiego dla nauczycieli z Niemiec. Uczestnicy kursu spotkali się z Kazimierzem Kutzem, Senatorem RP i reżyserem, z Piotrem Skrzypeckim, śląskim kuratorem oświaty i z Thaddäusem Schäpem, dyrektorem Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej. Mieli też możliwość obejrzenia lekcji niemieckiego w VIII LO im. M. Curie-Skłodowskiej w Katowicach. Po lekcji rozmawiali z uczniami i nauczycielem języka niemieckiego w tej szkole. Wśród atrakcji, które wypełniły wieczory studentów-nauczycieli, było wyjście do operetki na „Barona Cygańskiego” J. Straussa i na musical „Skrzypek na dachu” w Teatrze Rozrywki w Chorzowie.

Kurs adaptacyjny

Od 27 września do 1 października trwał w Szkole Języka i Kultury Polskiej kurs adaptacyjny dla obcokrajowców uczących się na Uniwersytecie Śląskim w ramach programu „Sokrates”. Studenci wzięli udział w konwersatoriach na temat organizacji uczelni, w kursie podstaw języka polskiego i w uroczystej inauguracji roku akademickiego. Zorganizowano też dla nich wycieczkę do Krakowa.

Gość w Szkole

Od 14 do 19 września gościła w Szkole Jutta Frach z Uniwersytetu im. M. Lutra w Halle. Jej badania dotyczyły sytuacji językowej na Śląsku. Przeprowadziła również kwerendę biblioteczną.

Nowy podręcznik

15 października ukazała się na rynku nowa książka do nauczania języka polskiego dla cudzoziemców początkujących autorstwa naszych koleżanek Magdy Pastuchowej i Aleksandry Janowskiej zatytułowana *Dzień dobry*. Podręcznik został wydany przez Wydawnictwo „Śląsk”. Jest kolorowy, pięknie ilustrowany i bardzo przydatny w nauce.

Obrady

15 i 16 października w Karłowie na Dolnym Śląsku obradowali przedstawiciele szkół języka polskiego kształcących w Polsce obcokrajowców. Celem spotkania było ustalenie regulaminu Olimpiady Języka Polskiego dla Cudzoziemców oraz międzynarodowej wersji *Dyktanda*.

Gościnne wykłady w Halle

W dniach od 29 listopada do 3 grudnia dr Jolanta Tambor i dr Romuald Cudak przebywali na slawistyce

Uniwersytetu im Marcina Lutra w Halle z gościnnymi wykładami.

Dr Jolanta Tambor mówiła o przemianach we współczesnej leksyce, zaś dr Romuald Cudak o przemianach gatunkowych na przykładzie kolędy i o poezji Rafała Wojaczka.



SPIS TREŚCI

<i>Prescriptum</i>	str. 1
<i>Irena Bajerowa, Język jako polityczna wartość w dziejach narodu polskiego</i>	str. 2
<i>Stanisław Lem, Dlaczego przestałem pisać science fiction?</i>	str. 10
<i>„Naprawdę ważny jest widz” – spotkanie z Kamilem Durczokiem</i>	str. 20
<i>Nasi studenci piszą po polsku</i>	str. 32
<i>Krótko o warszawskiej Filii Zespołu Szkół przy Ambasadzie RP w Sofii (1997-1999)</i>	str. 41
<i>Agnieszka Krysińska, Czarne strofy?</i>	str. 42
<i>Kronika</i>	str. 45